

DETEKTYW

TYLKO HISTORIE PRAWDZIWE

UPROWADZENIE
MULTIMILIONERA

5

345

DR JEKYLL ZA
KIEROWNICĄ



ZBRODZIA
PRAWIE
DOSKONAŁA

cena 3 zł 90 gr (w tym 8% VAT)

Gliniarze w niebezpieczeństwie

Coraz częściej w internecie można znaleźć amatorskie nagrania filmowe wykonane telefonem komórkowym pokazujące nieudolność albo bezradność policji. Swego czasu furorę w sieci zrobił film, na którym widać jak funkcjonariusze przez kilka minut próbują obezwładnić kierowcę zatrzymanego do kontroli drogowej. Szarpia się z nim, nie są w stanie zakuć go w kajdanki. „Co będziesz się bił z dzieciakami, mają po dwadzieścia lat i do policji weszli” – komentuje jego żona, nagrywająca całe to zdarzenie, które w sieci obejrzało ponad milion ludzi.

Pomimo bardzo dużego zaufania do policji... coraz mniej się jej boimy, czego potwierdzeniem jest prawie dwa tysiące naruszeń nietykalności cielesnej funkcjonariuszy, do których doszło w 2014 roku. Najbardziej narażeni są na nie mundurowi z prewencji, choć „obrywa” się także tym z drogówki i prewencji. Liczba takich zdarzeń rośnie z roku na rok – przed kilkoma laty rocznie dochodziło do niespełna tysiąca ataków na stróżów prawa. Nieznana jest „ciemna” liczba takich zdarzeń; wiele z nich nie jest zgłaszanych, bo policjanci nie chcą narażać się na długotrwałe postępowanie służbowe, a nawet drwiny kolegów. Rękę na policjantów najczęściej podnosią ludzie skonfliktowani wcześniej z prawem. Zwykłym ludziom, którzy żyją zgodnie z zasadami, raczej nie przyjdzie go głowy, by porywać się na mundurowych.

Policja w każdym kraju kojarzy się z mandatami i karami. Inna rzecz, że to policjanci są na pierwszej linii walki z przestępcami, bo kiedy dzieje się nam coś złego, to właśnie od stróżów prawa oczekujemy pomocy i podjęcia stosownych działań. Na Zachodzie, nie mając na myśli tylko USA, nikt nie „podskoczy” policjantowi, bo delikwent zostanie powalony na ziemię, a potem zakuty w kajdanki. Mnie to nie dziwi i w Polsce też powinno tak być! ■

Krzysztof Kilijanek	
Gliniarze w niebezpieczeństwie – Od redakcji	2
Monika Frączak	
Marcowa kronika kryminalna – Minął miesiąc	3
Leon Madejski	
Zbrodnia prawie doskonała – Żmudne śledztwo	4
Konrad Buraczewski	
Kanibal z Kolorado – Sceny z Dzikiego Zachodu	12
Sławomir Kosmala	
Jubilat – No i co doktorku?	18
Andrzej Poll	
Urowadzenie multimilionera – 33 dni w piwnicy	24
Z kraju i ze świata – Rozrywka z Temidą	32
Roman Baszkiewicz	
Dr Jekyll za kierownicą – Syndrom Mad Maksa	36
Stefan Kotkowski	
Krople życia – Znachor	42
Konrad Szymalak	
Tajemniczy łup – Cwany tercet	48
Karol Rebs	
Gotowi na wszystko – Poparzeni (głupotą)	52
Jarosław Szklarek	
Zabójstwo Polly Klaas – „Obyś spłonął w piekle!”	56
Krzyżówka z paragrafem	63
Zazdrosna rywalka – Zagadka kryminalna	64

WYDAWCA

 Przedsiębiorstwo
Wydawnicze
Rzeczpospolita SA

Al. Jerozolimskie 107
02-011 Warszawa
Tel.: (22) 429 24 00
www.pwrsa.pl

ADRES REDAKCJI

Al. Jerozolimskie 107
02-011 Warszawa

SEKRETARIAT REDAKCJI

Tel.: (22) 429 24 50
www.e-detektyw.pl e-mail: detektyw@pwrsa.pl

REDAKTOR NACZELNY

Adam Kościelniak: adam.koscielniak@pwrsa.pl

ZASTĘPCA RED. NACZ.

SEKRETARZ REDAKCJI

Krzysztof Kilijanek: krzysztof.kilijanek@pwrsa.pl

REDAKTORZY

Monika Frączak: monika.fraczak@pwrsa.pl
Ewa Lewandowska: ewa.lewandowska@pwrsa.pl

ILUSTRACJE

Monika Kamińska

SKŁAD I ŁAMANIĘ

AKAPIT, Jakub Nikodem: jakub.nikodem@pwrsa.pl

KOLPORTAŻ ZAGRANICZNY:

USA: „EXLIBRIS” – 5708 W. Belmont Ave. Chicago, IL 60634
Tel.: 773/725-2005 Fax: 773/725-7392 Biuro w Warszawie,
ul. Dęblńska 13

REKLAMA

Tel.: (22) 429 24 00

Prenumerata: koszt 1 egzemplarza – 3,20 zł.

Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować pod adresem e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00 – 17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

DRUK

Drukarnia ODDI Poland Sp. z o.o.
ul. Kościelna 91, 26-800 Białobrzegi
Nakład: 210 010 egz.
Oddano do druku: 02.04.2015 r.

Wydawca miesięcznika „Detektyw” ostrzega, że bezumowna sprzedaż aktualnych i archiwalnych numerów miesięcznika po innej cenie niż ustalona przez Wydawcę jest działaniem nielegalnym i skutkuje odpowiedzialnością karną. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania i zmiany tekstów. Kopiowanie i rozpowszechnianie publikowanych materiałów wymaga pisemnej zgody Wydawcy. Wydawca nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

© Copyright by
„Detektyw”



DETEKTYW

Krzysztof Kilijanek

Marcowa kronika kryminalna

GLIWICE – Rodzinna tragedia rozegrała się w jednym z mieszkań przy ulicy Wiślanej. Było dobrze po godz. 20.00, kiedy do domu wrócił 62-letni mężczyzna. Był pod wpływem alkoholu. W tym czasie w mieszkaniu przebywała jego 61-letnia żona i dwóch wnuków (14- i 9-latek). Nie wiadomo dlaczego mężczyzna nagle chwycił za nóż i rzucił się w stronę starszego z chłopców, potem ranił żonę. W tym czasie młodszy wnuk uciekł z mieszkania i powiadomił sąsiadów, o tym co się u niego dzieje. W czasie kiedy dorośli wzywali policję, 62-latek popełnił samobójstwo wyskakując z okna (z czwartego piętra). Choć pogotowie bardzo szybko pojawiło się na miejscu tragedii, nie udało się uratować 14-latka. Do szpitala trafiła natomiast kobieta. Lekarze poinformowali, że jej stan jest ciężki, ale stabilny. Mieszkańcy bloku, w którym doszło do tragedii, nie mogą uwierzyć w to, co się stało. Zeznali, że starsi państwo bardzo kochali wnuków. Owszem, mężczyzna po alkoholu bywał dość głośny, jednak pracownicy Ośrodka Pomocy Społecznej pozytywnie ocenili dziadków. Ich zdaniem małżeństwo było bardzo zaangażowane w wychowanie chłopców. Dziadkowie od sześciu lat byli dla nich rodziną zastępczą. Wtedy to na oczach dzieci ojciec udusił ich matkę. Te traumatyczne przeżycie odcisnęło się na psychice zwłaszcza starszego z chłopców, który teraz został zamordowany przez własnego dziadka.

BIELSKO-BIAŁA – Trwa wyjaśnianie okoliczności zbrodni do jakiej doszło na osiedlu Karpackim, gdzie w jednym z mieszkań znaleziono zwłoki mężczyzny. Ciało 69-letniego bielszczanina miało liczne obrażenia. Niedługo po odnalezieniu zwłok policja zatrzymała 27- i 48-latka, podejrzanych o dokonanie tej zbrodni. Okazało się, że mężczyźni znali się i od czasu do czasu, przychodzili do swojego starszego kolegi na wódkę, bywało, że pomieszkiwali u niego. Co tym razem rozegrało się w mieszkaniu 69-latka wykaże śledztwo. Młodszy z zatrzymanych przyznał się do zarzucanych mu czynów. Obu mężczyznom grozi dożywotnie więzienie.

DOLNOŚLĄSKIE – Spacerujący po lesie mężczyzna, nieopodal miejscowości Piechowice, odkrył zwłoki mężczyzny. Blisko zmarłego stał wózek inwalidzki. Początkowo policja i prokuratura nie wykluczały, że do śmierci 27-letniego mężczyzny przyczyniły się osoby trzecie. Jednak sekcja zwłok wykazała, że niepełnosprawny popełnił samobójstwo, chociaż dość zagadkowe pozostawały tzw. okoliczności towarzyszące. Śledczy zastanawiali się, jak osoba poruszająca się na wózku inwalidzkim dostała się do trudno dostępnej części lasu, gdzie prowadzi wyboista droga na ostrych wzniesieniach. Wszystkie przesłanki jednoznacznie wskazywały, że mimo trudności terenowych, w tym przypadku, doszło do samobójstwa. Mundurowi ustalili, że zmarły mężczyzna pochodził z okolic Białegostoku i kilka

dni przed śmiercią przebywał w jednym z hoteli w okolicy Piechowic. Ustalono także, że niepełnosprawny od jakiegoś czasu borykał się z depresją, co prawdopodobnie było powodem targnięcia się na swoje życie.

OPOLSKIE – Na początku miesiąca poinformowano policję o zaginięciu 15-letniej Wiktorii. Nastolatka ostatni raz była widziana 7 marca między godziną 18.00 a 19.00 w okolicy ronda w Gogolinie. Zaginionej nastolatki szukała nie tylko policja, ale także okoliczni mieszkańcy. 18 marca mundurowi zaczęli przeszukiwać tereny wokół Krapkowic. W przepompowni, niedaleko autostrady A4, znaleziono zwłoki młodej kobiety. Rodzina Wiktorii nie była w stanie zidentyfikować zwłok, ale badania DNA potwierdziły, że to zaginiona nastolatka. Sekcja wykazała, że 15-latka została zamordowana.

MAŁOPOLSKIE – Przed krakowskim sądem rozpoczął się proces o zabójstwo, do którego doszło w 2006 roku. Sprawcy, Renata N. i Artur B., zostali ujęci dzięki działaniom policjantów z tzw. archiwum X (badającego niewyjaśnione zbrodnie sprzed lat). W 2006 roku w zaroślach na cmentarzu w krakowskich Batowicach znaleziono zwłoki mężczyzny. Wtedy wszystko wskazywało, że znaleziony 46-letni Tomasz N. zmarł z przyczyn naturalnych (dlatego umorzono postępowanie w tej sprawie). Jednak policjanci z archiwum X zaczęli analizować okoliczności i miejsce znalezienia zwłok. Dopatrzyli się szczegółów, które naprowadziły ich na trop, że może było to zabójstwo. Znaki zapytania zaczęły się mnożyć po przesłuchaniach członków rodziny zmarłego. Wyszło na jaw, że bliscy byli ze sobą skonfliktowani, m.in. na tle majątkowym (niedługo przed śmiercią, mężczyzna został spadkobiercą nieruchomości pod Krakowem). Przeprowadzona ekshumacja zwłok wykazała, że mężczyzna został otruty (w ciele miał nienaturalnie wysokie stężenie środka leczniczego, do którego nie mógł mieć dostępu). W 2014 roku prokuratura oskarżyła 44-letnią, wówczas, Renatę N. – żonę zamordowanego i 45-letniego Artura B., o dokonanie zabójstwa z powodu chęci uzyskania spadku po nim. Prawdopodobnie był jeszcze jeden uczestnik zbrodni – Mariusz B., ale mężczyzna już nie żyje. Prokuratura zarzuciła podejrzanym, że podali mężczyźnie środek, który spowodował uszkodzenie centralnego układu nerwowego, a kiedy Tomasz N. zapadł w śpiączkę, podrzucili jego ciało na cmentarz. Podczas składania wyjaśnień przed sądem, Renata N. wyjaśniła, że nie ona zamordowała męża, lecz nieżyjący Mariusz B. – wobec którego jej ślubny miał mieć długi. Przyznała, że wiedziała o planach mężczyzny, ale nie powiadomiła policji, bo chciała bronić dzieci. Obojgu zatrzymanym może grozić nawet dożywocie. ■

Monika Frączak

ZBRODNIA PRAWIE DOSKONAŁA

Leon MADEJSKI

Mało brakowało, a byłaby to zbrodnia doskonała, na szczęście bandytom zabrakło szczęścia. Wszystko wyszło na jaw, bo pewnego listopadowego poranka przypadkowy pies podczas porannego spaceru ze swoim panem nad brzegiem rzeki, spod

kilkucentymetrowej warstwy piasku wykopał kawałek czarnej folii. Zaintrygowany znaleziskiem jego opiekun zadzwonił na miejscowy posterunek policji. Dwa lata później zatrzymano pierwszych podejrzanych o udział w makabrycznej zbrodni.



Siąpiał deszcz, jesienna pogoda nie zachęcała do spacerów. Mimo to Andrzej W. musiał wcześniej wstać, ubrać się i wyjść na dwór. Wszystko przez „Karesa” – olbrzymiego wyżła, wielokrotnie towarzyszącego mu w trakcie polowań – który nerwowo kręcił się w przedpokoju. Pies od dawna oczekiwał na moment, kiedy jego pan weźmie do ręki smycz i kaganiec, co zawsze było sygnałem do wymarszu na pierwszy, poranny spacer. Najczęściej chodzili na łąki położone nad brzegiem niewielkiej rzeki przepływającej przez N., powiatowe miasto na zachodnich rubieżach Polski. Okolica była trochę odludna, ale dzięki temu psy mogły tam wybiegać się i wyhasać... o ile ich właściciel miał czas. Tamtego poranka w okolicy nie widać było żadnego człowieka, tak więc zapowiadał się spacer bez żadnych ograniczeń. Pies biegał wzdłuż rzeki, co pewien czas zapuszczał się w pobliskie chaszczce. W pewnym momencie zatrzymał się niemal na brzegu i zaczął kopać w jednym miejscu. Kręcił się niespokojnie, w pewnym momencie zaczął nawet warczeć.

– *Kares! Do nogi, wracamy do domu!* – strofował go właściciel, bo nieubłaganie zbliżała się godzina wyjazdu do pracy, jednak czworonóg ani myślał przerwać swojego ulubionego zajęcia. W pewnym momencie spod warstwy ziemi wyciągnął, a raczej urwał, spory kawałek czarnej folii. Zaintrygowany tym znaleziskiem Andrzej W. podszedł do psa, który łapami i pyskiem próbował pogłębić dół. Zaraz potem w jego pysku pojawił się kawałek kości.

– *Kares, zostaw to...* – Andrzej W. siłą odciągnął psa od wykopanego dołu. Nałożył mu kaganiec na pysk, do obroży przypiął smycz i pociągnął ku sobie. Trzymając czworonoga przy nodze, próbował dokładniej przyrzeć się wykopanemu dołowi. Widok był zaiste intrygujący. Pod cienką warstwą rzeczno-żwiru widać było spory kawałek czarnej folii. Na niej leżała warstwa żółto-brunatnej galaretowatej masy, wewnątrz której widoczne były różnych rozmiarów kości. Niektóre z nich podobne były do zębów.

– *Ki diabeł, co to może być?* – zastanawiał się mężczyzna, jednak żadne wytłumaczenie nie przychodziło mu do głowy. Na pewno nie były to pozostałości po obgryzionym kurczaku z grilla, bo szczątki miały dziwny, gładki kształt. Zresztą skąd wzięłaby się wokół ta dziwna galaretowata masa? Z pewnością nie były to rzeczne glony. Trochę wędkował, jednak po raz pierwszy spotkał się z czymś takim. Nie wiedział, co dalej robić: zlekceważyć to znalezisko i pozwolić, aby pies całkowicie rozgrzebał dół – i jak gdyby nigdy nic wrócić do domu – albo na wszelki wypadek zadzwonić na posterunek policji i powiadomić funkcjonariuszy o nietypowym znalezisku.

Telefoniczne zgłoszenie pana Andrzeja potraktowano bardzo poważnie. Kilkanaście minut później nad brzeg rzeki przyjechali policjanci z powiatowej dochodzeniówki. Andrzej W., który w tym czasie

odprowadził psa domu i ponownie przyszedł nad rzekę, wskazał miejsce nietypowego znaleziska. Technicy kryminalistyki zaczęli się dokładnie przyglądać kawałkom kości i dziwnej mazi...

– *I co, macie jakieś sugestie?* – dopytywali się policjanci.

Jednak specjaliści z laboratorium bezradnie rozłożyli ręce. – *Przecież nie mamy mikroskopu w oczach i trudno coś wyrokować* – stwierdził jeden z nich, nie ukrywając, że sprawa jest zagadkowa. – *Być może są to szczątki zwierzęce, być może ludzkie, chociaż dla mnie bardziej prawdopodobna wydaje się ta druga hipoteza. Z pewnością przez dłuższy czas leżały w wilgotnym podłożu, które przyspiesza rozkład gnilny. Dopiero specjalistyczne badania pozwolą na dokładniejszą odpowiedź. Biorąc pod uwagę małą ilość materiału badawczego, jak również zniszczenia samych kości, niezbędne będą w tej sytuacji badania DNA.*

Policja dokładnie przeszukała pobliski teren, zastanawiano się nawet nad wykorzystaniem plewtonurków do spenetrowania w tamtym miejscu dna rzeki (szybko jednak zaniechano tego pomysłu), ale nie znaleziono żadnych interesujących śladów. Skrupulatnie zbadano miejsce wskazane przez Andrzeja W. Zabrano czarną folię, na której znajdowały się tajemnicze kości. Ponad wszelką wątpliwość stwierdzono, że były to ludzkie szczątki. Niestety, nie można było określić przyczyn śmierci: czy był to zgon naturalny, czy też doszło do zabójstwa, nie dało się też określić, kiedy nastąpiła śmierć. Na przekazanych do laboratorium fragmentach kości nie było żadnych tkanek miękkich, co pozwoliłoby na przeprowadzenie dokładniejszych badań.

Dopiero po upływie kilku miesięcy z laboratorium przyszły wyniki kolejnych analiz. Ich wynik dla policji i prokuratury był dużym zaskoczeniem. W śladach zabezpieczonych nad rzeką wyodrębniono kod genetyczny nie jednej, a dwóch osób – kobiety i mężczyzny. Na podstawie kodów DNA przybliżony wiek ofiar określono na 25 – 35 lat. Miejsce znalezienia szczątków ich ciał wskazywało na to, że obydwoje padli ofiarą zabójstwa, natomiast nad brzegiem rzeki ich ciała zostały rozpuszczone w jakimś kwasie. Najprawdopodobniej bandyci chcieli w ten sposób pozbyć się śladów popełnionej zbrodni.

Mnóstwo pytań bez odpowiedzi

Zapowiadało się trudne i skomplikowane śledztwo. Policjanci dochodzeniowcy stawiali sobie mnóstwo pytań: Kim byli zamordowani? Jaki był motyw zabójstwa? Gdzie i kiedy popełniono zbrodnię? Dlaczego oprawcy zdecydowali się na ukrycie zwłok w dość często odwiedzonym miejscu? Skoro chcieli perfekcyjnie pozbyć się zwłok, to dlaczego nie uczynili tego w bardziej ustronnym miejscu? Wystarczyło wyjechać kilka kilometrów za miasto, wystarczyło dokładniej zamaskować ślady likwidacji zwłok, a pewnie nikt nigdy nie odkryłby



makabrycznych śladów. Tym samym byłaby to zbrodnia doskonała, a sprawcy pewnie do dzisiaj chodziliby na wolności.

– *Okolica, gdzie odnaleziono szczątki dwójki zamordowanych, jest miejscem częstych spacerów mieszkańców pobliskich bloków – przyznał jeden z funkcjonariuszy Komendy Rejonowej Policji w N. – Długo zastanawialiśmy się, dlaczego mordercy tam właśnie sporządzili cmentarz dla swoich ofiar... i nie udało się nam znaleźć żadnej rozsądnej odpowiedzi na to pytanie. Przecież mógł ich tam zaskoczyć przypadkowy świadek! Czyżby byli aż tak bardzo nieostrożni? Może jednak brali pod uwagę, że sprawa ujrzy światło dzienne, i chcieli w ten sposób kogoś nastraszyć, pokazać, że niczego się nie boją i są pewni swojej bezkarności.*

A może podwójne zabójstwo było dziełem psychopaty? Tę hipotezę szybko wykluczono, nie potwierdzała jej bowiem ani jedna przesłanka. Przeanalizowano kroniki kryminalne z ostatnich lat i stwierdzono, że w całym województwie nie doszło do równie zagadkowej zbrodni, którą ewentualnie można by przypisać podobnemu dewiantowi lub seryjnemu mordercy. Zresztą psychopaci rzadko kiedy ograniczają się do jednej zbrodni. Gdyby taki człowiek był sprawcą podwójnego morderstwa, pewnie kontynuowałby swoją zbrodniczą działalność... a nic takiego nie stwierdzono.

Jeśli zatem nie psychopata, to kto był zabójcą?! Mało prawdopodobne wydawało się rabunkowe tło podwójnej zbrodni. Z policyjnej praktyki wynika, że sprawcy zabójstw na tym tle, raczej rzadko wkładają aż tyle energii w zacieranie śladów zbrodni. Ich zainteresowanie koncentruje się przede wszystkim na zdobyciu łupu i rzadko kiedy mają czas na zatarcie po sobie śladów, co zresztą działa na korzyść organów ścigania, które łatwiej wpadają na trop bandytów.

Być może podłożem zbrodni były osobiste waśnie i animozje. Kobieta i mężczyzna mogli być parą, a przyczyną ich śmierci była zemsta zazdrosnego, odrzuconego kochanka, który najpierw zabił, a potem pozbył się ciał ofiar. Gdyby tak rzeczywiście było, to z psychologicznego punktu widzenia było raczej mało prawdopodobne, by dokonał tego wysokiej klasy specjalista od zacierania śladów zbrodni. Nawet jeśli zabójcy motywowani zemstą planują każdy szczegół zabójstwa, to raczej brakuje im czasu na myślenie o tym, jak zapewnić sobie bezkarność. Ich celem jest zemsta sama w sobie, a konsekwencje tego działania – nawet dożywotnie więzienie – nie jest dla nich jakimś „problemem”.

Kolejna hipoteza zakładała, że zamordowani padli ofiarą przestępczych porachunków, do jakich często dochodzi w przygranicznych rejonach zachodniej Polski. Nadgraniczne położenie sprzyja różnym interesom, nie zawsze legalnym. Kradzieże samochodów, przemyt alkoholu, papierosów i narkotyków, wymuszenia haraczu od bazarowych sprzedawców, wreszcie kontrolowanie niemal wszystkich działających na pograniczu agencji towarzyskich to najczęstsze źródła licznych fortun, które powstały na polsko-niemieckim pograniczu. Nic dziwnego, że policjanci mają tam pełne ręce roboty! Tam gdzie wielkie pieniądze, a tym bardziej gdy olbrzymie fortuny powstały dzięki przestępczej działalności, prędzej czy później musi dojść do przestępczych porachunków. To pulsujące pogranicze, gdzie w każdym miasteczku znajdzie się paru mniejszych i większych biznesmenów, którzy próbują swych sił w międzynarodowych interesach. Bywa, że świat legalnych interesów ściera się z przestępczymi, a wtedy łatwo o konflikty, które rozwiązuje się przy użyciu siły...

– *Zastanawiając się nad motywem podwójnej zbrodni, braliśmy pod uwagę jeszcze wiele innych motywów, ale do żadnego z nich nie byliśmy w pełni przekonani – opowiadają policjanci. – Dysponowaliśmy zbyt skromną wiedzą, aby którakolwiek hipoteza wysuwała się na czoło. Ktoś rzucił nawet pomysł, aby sporządzić portret psychologiczny domniemanego mordercy, jednak z braku wystarczającej liczby dowodów materialnych było to również niemożliwe. Domyślaliśmy się tylko, że mamy do czynienia z bezwzględnym sprawcą, który jeśli zajdzie taka konieczność, nie zawaha się kolejny raz zabić. Łudziliśmy się, że swoją działalność skończy na tym jednym przypadku... choć jeśli byłby to psychopata i szaleniec, to należało się*

spodziewać kolejnych ofiar. Nikt tylko nie wiedział, gdzie i kiedy ponownie zaatakuje.

Kim są denaci?

W czasie kiedy część grupy dochodzeniowej zajmowała się ustalaniem potencjalnego motywu zbrodni, inni policjanci próbowali ustalić tożsamość zamordowanych. Początkowo wydawało się to niemożliwe, bowiem śledczy nie mieli żadnego punktu zaczepienia. Analizowano przypadki zaginięć w okolicy na przestrzeni ostatnich lat, choć pojawiły się wątpliwości, czy takie typowanie potencjalnych ofiar jest celowe. Wszak zamordowani mogli być cudzoziemcami: w okolicy przebywa wielu mieszkańców byłego Związku Radzieckiego, równie dobrze mogli być to obywatele jednego z krajów Unii Europejskiej, choćby pobliskich Niemiec. W rejonach nadgranicznych i jednych, i drugich z roku na rok jest coraz więcej. Zresztą nie można było wykluczyć, że do zabójstwa doszło na terenie Niemiec, a Polska była jedynie miejscem pozbycia się zwłok. Gdyby rzeczywiście tak było, to szanse na rozwikłanie tej zagadki były bardzo małe.

Tego wątku oczywiście nie wykluczono, jednak spore nadzieje wiązano z analizą zgłoszonych przypadków zaginięć Polaków. Biorąc pod uwagę, że na „cmentarzu” nad brzegiem rzeki znaleziono fragmenty ciał dwójki dorosłych ludzi, jedna z hipotez zakładała, że ofiary były ze sobą w jakiś sposób powiązane. Być może byli to współnicy z tej samej spółki albo bliscy znajomi, może nawet małżeństwo. Jednak w ciągu ostatnich lat nie zgłoszono jednoczesnego zaginięcia dwójga bliskich sobie osób, nie mówiąc o osobach spokrewnionych.

Policja rozpoczęła analizę przypadków pojedynczych zaginięć, wychodząc z założenia, że jeden z denatów zginął np. w wyniku porachunków, a drugi tylko dlatego, że był świadkiem zabójstwa i tym samym wydał na siebie wyrok! Wytypowano kilkanaście takich osób: mężczyzn i kobiet, w wieku odpowiadającym zamordowanym, którzy w ostatnich latach zniknęli jak kamień w wodę. Ruszyły zakrojone na szeroką skalę kosztowne badania: od najbliższych członków ich rodzin pobrano krew w celu wyodrębnienia profilu DNA. To skomplikowane badanie, dzięki zdobyczom współczesnej kryminalistyki, pozwala na identyfikację zwłok w najtrudniejszych sprawach kryminalnych. By zidentyfikować szczątki zwłok, potrzebna jest – oprócz pobranej z nich – próbka porównawcza DNA członków rodziny. Specjalistyczne badania laboratoryjne ujawniają ewentualną zgodność danej próbki z próbką poszukiwanej osoby lub osób spokrewnionych. Zlecano kolejne badania, jednak za każdym razem z laboratorium przychodziły negatywne odpowiedzi. Policjanci powoli tracili wiarę, że uda się kiedykolwiek rozwiązać tę sprawę. Wszystko wskazywało na to, że prędzej czy później akta prowadzonego śledztwa spoczną w archiwum z adnotacją „umo-



rzne z powodu niewykrycia sprawcy przestępstwa” i z roku na rok będzie porastać je coraz grubsza warstwa kurzu. Na szczęście stało się inaczej.

Światelko w tunelu

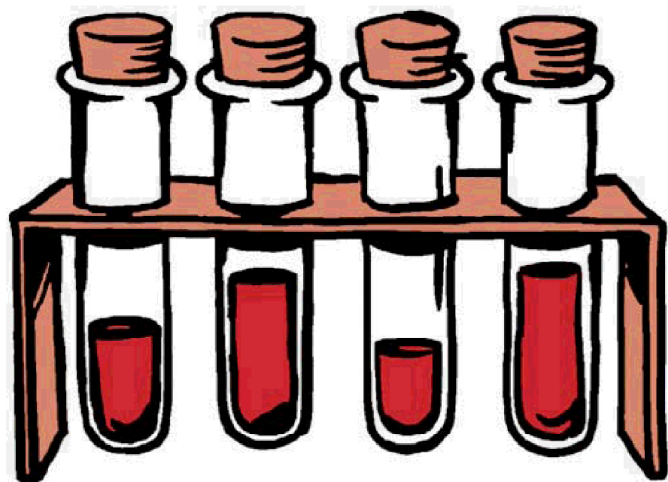
Olbrzymia w tym zasługa funkcjonariuszy z Centralnego Biura Śledczego, którzy w pewnym momencie przejęli na siebie główny ciężar wyjaśnienia tej sprawy. Często w śledztwie zaangażowanie nowych ludzi przekłada się na nowe pomysły, a analiza dotychczasowego materiału dowodowego pozwala na snucie nowych hipotez. Inna rzecz, że dzięki oficerom z CBS-u zebrano drogą operacyjną wiele nowych informacji. Niektóre z nich pokrywały się z dotychczasowymi tropami w śledztwie, jednak pojawiły się również nowe wątki. Jednym z nich było zaginięcie mieszkającego w jednym z nadgranicznych miasteczek 32-letniego Kazimierza R. O nagłym, tajemniczym zniknięciu poinformowała policję jego siostra – Małgorzata. Było to przed czterema laty, sprawy nie udało się w przekonujący sposób wyjaśnić. Policjanci z CBS zaczęli analizować akta leżące od kilkunastu miesięcy w archiwum.

– Ostatni raz widziałam się z bratem przed trzema dniami. – zeznała siostra, zgłaszając jego zaginięcie. – Przyjechał do mnie w odwiedzinach razem ze swoją dziewczyną w ostatnią niedzielę sierpnia, umówiliśmy się na wspólny wypad na grzyby za kilka dni. Niestety, od tamtej pory nie miałam z nim żadnego kontaktu. Nie odbierał telefonu, trzy razy byłam w jego mieszkaniu, ale nikogo nie zastałam. Choć każde z nas żyło własnym życiem, to jednak utrzymywaliśmy ze sobą bliski kontakt. Kazimierz zawsze mówił o planowanych dłuższych wyjazdach, a ostatnio o niczym takim mi nie wspominał. Pod blokiem, w którym wynajmował mieszkanie, nie było jego samochodu, bezskutecznie próbowałam skontaktować się z jego dziewczyną. Nie wiem, co się z nimi dzieje, oby tylko nie stało się im coś złego!

Policja przyjęła zawiadomienie o zaginięciu 32-letniego mężczyzny. Podjęto rutynowe w tego rodzaju przypadkach działania, ale nie przyniosły one żadnego efektu. Rychło sprawa poszła w zapomnienie. Policjanci byli przekonani, że Kazimierz R. wyjechał w inny region Polski albo za granicę i z sobie tylko wiadomych powodów unika kontaktów z najbliższą rodziną. Nie wykluczali nawet, że specjalnie gdzieś się ukrywa przed organami ścigania. Zaginiony mężczyzna od dłuższego czasu przewijał się w materiałach operacyjnych policji. Nie miał stałego źródła utrzymania, nie prowadził żadnego biznesu, a jednak nie narzekał na brak pieniędzy. Miał dobry samochód, wynajmował eleganckie dwupokojowe mieszkanie, stać go było na dobre ciuchy, obiady w restauracjach, wyjazdy za granicę. Skąd czerpał na to fundusze?! Zdobyte drogą operacyjną wiadomości sugerowały, że mężczyzna może mieć związek z gangiem zajmującym się napadami na ciężarówki przewożące alkohol, papierosy i elektronikę. Do jednego z takich „skoków” doszło kilka miesięcy przed jego zaginięciem...

Nie rób nic głupiego, jeśli ci życie miłe!

Tamten napad był perfekcyjnie przygotowany. Na odludnym odcinku drogi wojewódzkiej stał widoczny z daleka oznakowany radiowóz. Nie



było w tym nic dziwnego, bo w rejonach nadgranicznych policyjne samochody można spotkać w najmniej spodziewanych miejscach. Tamten radiowóz nie wzbudzał żadnych podejrzeń: miał napis „POLICJA” i „dyskotekę”, czyli niebieskie światła sygnalizacyjne na dachu. Na widok nadjeżdżającej ciężarówki jeden z funkcjonariuszy wysiadł z pojazdu i już z daleka dał sygnał do zatrzymania. Kierowca ciężarówki – Marian B. – był może trochę zaskoczony, że nikt nie uprzedził go wcześniej o „miśkach” przy drodze za pośrednictwem CB-radio, ale... w tamtym momencie nad tym faktem specjalnie się nie zastanawiał. Włączył prawy kierunkowskaz, jednocześnie wciskając pedał hamulca, by spokojnie zatrzymać kilkunastotonowego kolosa. Minutę później policjant zaprosił go do radiowozu. – Proszę przygotować dokumenty do kontroli i proszę nie zapomnieć o tarczy tachografu, też chcielibyśmy rzucić na nią okiem.

Kiedy kierowca usiadł na tylnym siedzeniu radiowozu, niespodziewanie zobaczył skierowane w swoją stronę lufy pistoletów. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że „to nie byli policjanci, że to byli przebierańcy” – jak śpiewał Andrzej Rosiewicz w jednym ze swoich największych przebojów. – *Dawaj kluczyki, dokumenty i nie rób żadnych głupich numerów, jeśli ci życie miłe!* – zagroził jeden z napastników. – *Nie zależy nam na tobie, tylko na ciężarówce i wiezionym towarze.* Nie zgrywał bohatera, nie próbował z nimi walczyć. Domyślał się, że jakakolwiek próba oporu mogłaby mieć dla niego tragiczny przebieg. Najpierw dał się skuć kajdankami, potem napastnicy wywieźli go w głąb nieznanego mu lasu i tam porzucili. Widział jak inny z bandytów wsiadł do ciężarówki, którą prowadził przed kilkoma minutami, i odjechał nią w nieznanym kierunku.

Marian B. dopiero dwie godziny później dotarł do asfaltowej drogi, przez kolejnych kilkanaście minut próbował zatrzymać przejeżdżające samochody, jednak żaden z nich nie zatrzymał się. I może trudno się temu dziwić, bo człowiek ze skutymi rękoma w odludnym terenie może budzić dziwne skojarzenia. Ktoś jednak się nad nim zlitował i powiadomił policję o nietypowym „autostopowiczu” w środku lasu. Kiedy podjechał tam – prawdziwy tym razem – radiowóz, radość pana B. nie miała końca...

Śledztwo w tej sprawie nie było proste, tym bardziej że kradzieże TIR-ów metodą „na policjanta” od wielu lat są problemem polskich dróg. Przestępcy przebierają się w stroje imitujące policyjne mundury, wsiadają do samochodu wyglądającego jak radiowóz, i zatrzymują ciężarówki przewożące towar nawet o kilkumilionowej wartości. Kiedy kierowca zatrzymywał się, bandyci obezwładniali go przy użyciu siły i przetrzymywali w lesie, natomiast ciężarówkę wypełnioną towarem kradli. Tak było również i w tym przypadku. Tamtego dnia Marian B. przewoził sprzęt radiowo-telewizyjny o wartości prawie pół miliona złotych. Po wjeździe do Polski przez przejście graniczne w Świecku, miał do pokonania

ponad kilkaset kilometrów do hurtowni w jednej z podwarszawskich miejscowości. Dojechał tam, ale pociągami dwa dni później. Na szczęście ciężarówka i towar były ubezpieczone, jednak strachu, jakiego doświadczył w trakcie napadu, nie zapomni do końca życia...

Porzuconą ciężarówkę znaleziono kilka dni później, jednak była oczywiście pusta. Sprawcy napadu i kradzieży pozostali na wolności, bo śledztwo zostało umorzone z powodu niewykrycia sprawców przestępstwa.

Strzał w dziesiątkę

Minęły trzy lata, w trakcie których nie pojawiły się żadne nowe wątki dotyczące zaginięcia 32-letniego wówczas mężczyzny i jego młodszej o siedem lat dziewczyny – Magdaleny D. Postępowanie w tamtej sprawie po kilku tygodniach utknęło w martwym punkcie. Powrócono do niego w związku ze śledztwem dotyczącym podwójnego zabójstwa i hipotezą, że jego ofiarą mogli paść Kazimierz R. i Magdalena D. Do badań porównawczych na zgodność kodu DNA pobrano krew ich rodzin. To był strzał w dziesiątkę! Biegli potwierdzili, że szczątki znalezione nad brzegiem rzeki w listopadowy poranek należały do zaginionej dwójki. Dzięki ustaleniu tożsamości zamordowanych, śledztwo nabrało zupełnie innego tempa. Rozpoczęła się żmudna praca operacyjna, która miała na celu poznanie życiorysu obydwójga zamordowanych, bo – wedle policjantów – tam mógł tkwić klucz do rozwiązania tajemnicy śmierci tych dwojga ludzi.

Kazimierz R. i Magdalena D. od prawie roku przed zniknięciem tworzyli nierozłączną parę. On – skończył technikum mechaniczne, ona – była świeżo upieczoną absolwentką Akademii Wychowania Fizycznego. Poznali się dzięki wspólnym znajomym i szybko zapalili do siebie miłością. Uczucie było na tyle silne, że po kilku tygodniach znajomości wynajęli mieszkanie, w którym razem zamieszkali. Żadne z nich nie miało stałej pracy, jednak na brak gotówki nie narzekali, o czym świadczyło chociażby dwuletnie Audi A6. Z czego zatem się utrzymywali?!

– *W rejonach przygranicznych przez długi czas nie wypadało zadawać takich pytań – tłumaczy jeden z policjantów. – To pulsujące pogranicze. Oni obracali się w różnych środowiskach: Magdalena wśród bogatych kobiet utrzymywanych przez swoich facetów, Kazimierza często można było spotkać wśród ludzi związanych z przestępczym podziemkiem. I nie byli to jacyś pospoliccy rzeźmieszkwowie; raczej różnego formatu biznesmeni od nie zawsze legalnych interesów. Byliśmy pewni, że któryś z nich może wiedzieć coś o okolicznościach zniknięcia Kazimierza R.*

Rozpoczęła się intensywna penetracja tego środowiska. Rozmowy z ludźmi nie wniosły do sprawy nic nowego, głównie dlatego, że od interesujących policję zdarzeń minęło pięć lat. Jednak kilku świadków przypomniało sobie, że na kilka tygodni przed



zaginięciem Kazimierza R. kilka razy widziano go w towarzystwie 45-letniego wtedy Sebastiana B., mieszkańca tej samej miejscowości, w której znaleziono szczątki zwłok zaginionej dziewczyny i jego mężczyzny. Może był to zbieg okoliczności, a może...

Co zrobić z niesolidnym dłużnikiem?

Sebastian B. oficjalnie był właścicielem hurtowni z materiałami budowlanymi... jednak to nie handel był dla niego głównym źródłem utrzymania. Całkiem niezłe profity przynosiło mu nielegalne pośrednictwo w handlu bronią i materiałami wybuchowymi. Przed kilkoma laty pan Sebastian zasiadł na ławie oskarżonych, bowiem postawiono mu zarzuty handlu dynamitem i produkcji profesjonalnych bomb; jeszcze wcześniej, podejrzewano go o handel kradzionymi maszynami budowlanymi.

Tak w pierwszej, jak i w drugiej sprawie pojawiały się nazwiska trzech innych czterdziestolatków:



Krzysztofa L., Jerzego E. i pochodzącego z Mołdawii, mieszkającego od kilku lat w Polsce Anatolija C. Cała trójka doskonale знаła się z Sebastianem B., który był ponoć szefem tej nieformalnej grupy. Ci czterej mężczyźni nie mieli problemów ze zorganizowaniem napadu na ciężarówkę, ale nie znali sposobu na szybkie sprzedanie łupu na „czarnym rynku”. Podobno wtedy poznali Kazimierza R. Mężczyzna obiecał im, że za odpowiednią prowizję znajdzie paserów, którzy zajmą się pochodzącymi z rabunku fantami. Nie było to dla niego problemem, z racji znajomości w przestępczym półświatku, w którym obracał się od wielu lat. Cała piątka doszła do porozumienia. Napad się udał, problemy zaczęły się przy podziale łupów. Kazimierz R. podobno próbował wykiwać niedoszłych współników – najpierw zażądał o wiele większego udziału w zyskach, a kiedy panowie nie doszli do porozumienia, zaczął zwlekać z oddaniem pieniędzy. Wkrótce potem pan R. zapadł się jak kamień w wodę.

Tę historię o napadzie, a potem nieudanym podziale zysków, funkcjonariusze CBS usłyszeli

z dwóch niezależnych od siebie źródeł. Czyżby grupa kierowana przez Sebastiana B. postanowiła rozprawić się z niesolidnym współnikiem? Chcąc poznać odpowiedź, detektywi musieli porozmawiać z czwórką mężczyzn. Sebastian B. niestety zniknął. Trójka pozostałych mężczyzn była bardzo zaskoczona zatrzymaniem przez policję, jeszcze bardziej zdziwiła ich rozmowa na temat Kazimierza R. i jego dziewczyny. Pięć lat, które upłynęło od tamtych tragicznych wydarzeń, utwierdziło ich w przekonaniu, że policja nigdy nie wpadnie na ich trop. Kiedy jednak zaczęły się wielogodzinne przesłuchania, opuściła ich pewność siebie. Byli mocni, gdy działali w grupie. Gdy uświadomili sobie, że w grę mogą wchodzić zarzuty, za które grozi nawet kara dożywocia, skończyła się przestępcza solidarność. Nie próbowali nic ukrywać, zaczęli składać wyjaśnienia.

Kazimierz R. poznał swoich przyszłych oprawców na pół roku przed śmiercią. Z grupą czterech mężczyzn połączył go napad na TIR-a, przewożącego sprzęt RTV do jednej z hurtowni w centrum kraju. Jego kompani mieli zająć się napadem, on – sprzedaż łupu „na czarnym rynku”, którego wartość wynosiła około pół miliona złotych. Napad się udał, ale R. próbował „wykołować” swoich kompanów. Zwodził ich, twierdząc, że ma problemy z wyegzekwowaniem pieniędzy za dostarczony towar, w rzeczywistości całą należność chciał zachować dla siebie. Tamci zwierzyli podstęp i zaplanowali zemstę. Zaproponowali Kazimierzowi R. udział w następnym skoku, umówili się nawet w mieszkaniu Sebastiana B. na omówienie kolejnego napadu. Kazimierz R. przyjechał ze swoją dziewczyną. Nigdy nie uda się już wyjaśnić, dlaczego zabrał ją ze sobą na to spotkanie. Może już wcześniej obawiał się podstępu, może towarzystwo kobiety miało być gwarancją bezpieczeństwa. Jeśli takie miał plany, to się przeliczył!

★ ★ ★

W mieszkaniu B., oprócz gospodarza, była również trójka jego kompanów. Czwórka silnych, uzbrojonych mężczyzn bez problemu dała sobie radę z Kazimierzem R. i jego dziewczyną. Pobitych wsadzili do dwóch samochodów i zawieźli do hurtowni Sebastiana B. na peryferiach miasta. Oprawcy najpierw zabrali się za Kazimierza R. Umierał kilka godzin – napastnicy bili go kijem baseballowym, przestrelili mu rękę, rozcinali nożem ciało, by na końcu zabić strzałem w tył głowy. Kiedy Kazimierz R. wyzionął ducha, oprawcy zabrali się za Magdalenę D. Kobieta musiała umrzeć tylko dlatego, że była świadkiem śmierci swojego partnera. Ona również została brutalnie pobita, wielokrotnie zgwałcona, a w końcu zatłuczona drewnianą pałąką. Zmasakrowane, nagie ciała wrzucili do bagażnika samochodu i pod osłoną nocy pojechali niespełna dwa kilometry – nad brzeg przepływającej rzeki. Wychodząc z hurtowni zabrali kilkadziesiąt kilo-

gramów środków chemicznych, które posłużyły do rozpuszczenia zwłok.

Niespełna metr od brzegu rzeki wykopali dół, który wyłożyli czarną folią, wrzucili do niego nagie ciała kobiety i mężczyzny, po czym wysypali na nie kilka worków żrącej substancji. Przez blisko trzydzieści godzin nie opuszczali tego miejsca, pilnując, by doszło do całkowitego rozpuszczenia zwłok. Rozpalili ognisko, zaczęli grillować kiełbaski, mieli ze sobą wódkę i coś do popicia. Kiedy skończyło się jedzenie, kilka razy jeździli do sklepu, by coś dokupić.

Po trzydziestu godzinach ze zwłok zamordowanej dwójki dorosłych ludzi pozostało jedynie trochę kości i spora ilość galaretowanej mazi. Tę ostatnią spuścili przez dren do rzeki, dół zasypali. Byli pewni, że denatów nigdy nie uda się zidentyfikować, bo przestali istnieć. Dla zatarcia śladów spalili należący do jednego z mężczyzn samochód, którym wcześniej przewozili ciała zamordowanych. Należące do Kazimierza R. Audi utopili w stawie odległym o dwaście kilometrów. Przez pięć lat czterech mężczyzn żyli w przekonaniu, że prawda o zbrodni nie ujrzy światła dziennego. Trzej z nich byli bardzo zaskoczeni, gdy przedstawiono im zarzuty zabójstwa. Czwarty z nich, Sebastian B. – najprawdopodobniej zleceniodawca i pomysłodawca zbrodni – był nieuchwytny dla policji. Wiele wskazywało na to, że ukrywa się gdzieś za granicą. Wydano za nim Europejski Nakaz Aresztowania. Kilkanaście miesięcy później zatrzymano go w Hiszpanii, w miasteczku około 30 kilometrów od Madrytu, gdzie przebywało co najmniej kilkudziesięciu innych naszych rodaków.

Był gorący, parny poranek: Sebastian B., ubrany jedynie w slipki, był akurat w łazience i golił się, gdy do mieszkania wdarli się żandarmi. Nagle zobaczył wycelowane w jego kierunku lufy karabinów. Nie próbował stawiać oporu, posłusznie podniósł do góry ręce. Nie zdążył dokończyć porannej toalety. Pozwolono mu się jedynie ubrać, po czym skutego kajdankami wyprowadzono na ulicę i odwieziono do komisariatu policji. Tam oficjalnie poinformowano go o przyczynie zatrzymania i tymczasowego aresztowania. Tłumacz przysięgły poinformował go o zarzutach polskiego wymiaru sprawiedliwości i ekstradycji do Polski. Ostatni z podejrzanych w tej makabrycznej sprawie znalazł się wreszcie za kratkami.

★ ★ ★

Wobec oskarżonych zapadły surowe wyroki. Sąd pierwszej instancji skazał Sebastiana B. na karę dożywotniego więzienia z jednoczesnym zastrzeżeniem, że o wcześniejsze wyjście na wolność będzie mógł się ubiegać najwcześniej za czterdzieści lat. Krzysztof L. usłyszał wyrok dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności, ale także z podobnym ograniczeniem jak jego „szef” – na opuszczenie celi może liczyć dopiero po dwudziestu latach pobytu w zakładzie karnym. Trzeci



z oskarżonych o bezpośredni udział w zabójstwie – Jerzy E. – został skazany na karę piętnastu lat więzienia. Ostatni z zasiadających na ławie oskarżonych, Anatolij C. – na mocy wyroku Temidy – został skazany na cztery lata pozbawienia wolności. Cudzoziemiec nie brał bezpośredniego udziału w makabrycznej zbrodni, uczestniczył jedynie w jej zacieraniu. Jako okoliczność łagodzącą sąd wziął pod uwagę, że dzięki składanym przez niego wyjaśnieniom możliwe było ustalenie wielu szczegółów morderstwa. Kto wie, czy bez jego postawy możliwe byłoby udowodnienie winy trójce jego kompanów.

Adwokaci pierwszych trzech skazanych wnieśli apelację od wyroków. We wszystkich trzech przypadkach padały te same argumenty: orzeczone kary były zbyt surowe, nie udało się precyzyjnie przypisać winy poszczególnym oskarżonym, więc zgodnie z odwieczną zasadą Temidy, wedle której wszelkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść podejrzanego, w sprawie tej wyroki winny być łagodniejsze. Wywody obrońców zostały częściowo uznane przez sędziów rozpatrujących tę sprawę w sądzie drugiej instancji. W efekcie orzeczone w tej sprawie wyroki zostały uchylone, a sprawa ponownie trafiła do sądu okręgowego. Nie znaczy to jednak, że oskarżeni wyszli na wolność – są osadzeni w zakładach karnych, gdzie odbywają karę za przestępstwa mniejszego kalibru, tj. napad na TIR-a. W sprawie o zabójstwo nie zapadły jeszcze prawomocne wyroki. ■

Leon Madejski

Imiona, pierwsze litery nazwisk i niektóre szczegóły zostały zmienione.

KANIBAL

Konrad BURACZEWSKI

Z KOLORADO

Gorączka złota w Ameryce zazwyczaj kojarzy się z poszukiwaczami spokojnie i cierpliwie wyplukującymi przez sito piasek, w nadziei na znalezienie cennego kruszcu. Ale gorączka złota miała również swoje mroczne oblicze. Tropiciele żółtego metalu na odlud-

nych, odciętych od świata preriach i górskich szlakach, potrafili posunąć się do odrażających czynów. Do takich z pewnością zaliczyć można przypadek Alfreda Packera, pierwszego człowieka sądanego w USA za kanibalizm.



Był rok 1873. Gorączka złota na dobre opanowała zachodnie i środkowe terytory Ameryki Północnej. Co jakiś czas pojawiała się wiadomość, przekazywana z ust do ust, o odkryciu nowego dużego złoża cennego kruszcu. Każda taka wiadomość pobudzała wyobraźnię wielu tropicieli, którzy w większych i mniejszych grupach przeczesywali rzeki i górskie groty w poszukiwaniu złota. Jedną z takich ekspedycji, liczącą 20 osób, wyruszyła z Utah w góry San Juan w południowo-zachodniej części Kolorado. Niespenetrowane jeszcze przez innych góry mogły skrywać w sobie dużo upragnionego surowca.

Poszukiwacze ruszyli w stronę Gór Skalistych późną jesienią. Nie wiadomo, czemu o tak późnej porze zdecydowali się na tak ryzykowną górską wyprawę. Faktem jest, że tego roku zima w Kolorado okazała się wyjątkowo surowa. Siarczysty mróz, wiatr, głębokie zasy sięgające po szyję, a do tego ryzyko wystąpienia lawiny, która mogłaby w ciągu kilku sekund pogrzebać wszystkich żywcem, wreszcie zatrzymały wędrowkę w styczniu 1874 roku u podnóża gór, nieopodal miejscowości Montrose. Wycieńczeni i zziębnięci poszukiwacze trafili tam na obozowisko Indian Ute, którzy okazali im serce i pozwolili przeczekać mrozy.

Z upływem kolejnych dni nie zanosilo się na jakąkolwiek poprawę pogody. Pojawiła się konieczność zawieszenia eskapady i kontynuowania jej dopiero na wiosnę, gdy góry nie będą stanowić już takiego niebezpieczeństwa. „Teraz pójście tam na pewną śmierć” – przekonywał wódz Indian Ute, Ouray, zachęcając do pozostania w jego obozie.

Nie każdemu z uczestników wyprawy podobała się taka perspektywa. „Inni dotrą przed nami i sprzątną nam całe złoto sprzed nosa” – mówili niektórzy, wpatrując się w piętrzące się przed nimi szczyty San Juan. W końcu zebrała się sześciuosobowa grupka śmiazków, którzy postanowili zaryzykować, ruszając w góry. Byli to Shannon Wilson Bell, Israel Swan, James Humphrey, Frank Miller, George Noon oraz Alfred Packer.

Poszukiwacze obliczyli, że do celu swojej wędrowki mieli ok. 40 mil. Idąc zwawym tempem, powinno zająć im to dziesięć dni. Zaopatrzeni w odpowiednie zapasy jedzenia ruszyli przed siebie na początku lutego 1874 roku.

Jeden z sześciu

Minęły dwa miesiące, a po sześciuosobowej grupie śmiazków zaginął wszelki ślad. Gdy zima zaczęła ustępować, wysłano za nimi grupę poszukiwawczą, która jednak nie trafiła na żaden ślad. Tymczasem po około dziewięciu tygodniach w rezerwacie Indian Los Pinos położonym po drugiej stronie gór niespo-

dziewanie pojawił się Alfred Packer. Był sam. Zdaniem świadków, nie wyglądał na zbyt zmęczonego wędrowką. O dziwo, nie prosił nawet o nic do jedzenia, chciał jedynie napić się whisky. Powiedział, że w trakcie marszu miał wypadek, zranił się w nogę i został daleko w tyle za swoimi kompanami. Nie wiedział, co się z nimi stało – podejrzewał, że mogli pobłądzić gdzieś w trudnych, górskich ostępach.

Mężczyzna przez chwilę stał się „atrakcją” towarzystwa – przesiadując w miejscowym saloonie nad szklanką mocnego trunku, opowiadał o przedzieraniu się przez górskie zasy i ciężkiej walce z bezlitosną aurą. W saloonie spotkał też kilku swoich kompanów z pierwotnej ekspedycji, od której oderwał się w sześć osób w początkach lutego. Mężczyźni zwrócili uwagę, że Alfred miał przy sobie nóż myśliwski i strzelbę, która wcześniej należała do jednego z rzekomo zaginionych towarzyszy. Rzucił się w oczy również fakt, że Packer dysponował całkiem sporą sumą pieniędzy... Jakim cudem sakiewka napęczniała mu podczas samotnego marszu?

Wszystko to wydawało się bardzo niepokojące i podejrzane. Wątpliwości dotarły również do samego nadzorca rezerwatu, w którym bawił ocalały Alfred Packer, generała Charlesa Adamsa. W pierwszych dniach maja generał wezwał do siebie Packera celem złożenia oficjalnych wyjaśnień w tej sprawie.

Tym razem relacja z górskiej wędrowki diametralnie różniła się od tej wersji powtarzanej w saloonie.

– Zapasy jedzenia szybko nam się skończyły, praktycznie już kilka dni po wyruszeniu. Żadnej zwierzyny nie było na horyzoncie, a w rzekach skutych grubym lodem nie dało się nic złowić. Głód doskwierał nam coraz bardziej. Pierwszy z wycieńczenia „padł” najstarszy z nas, Isreal Swan. Organizm nie wytrzymał. Zmarł z głodu i wycieńczenia. Nie chcieliśmy podzielić jego losu, więc... poćwiartowaliśmy jego ciało i zjedliśmy. I tak był już martwy – tłumaczył Packer w zeznaniach datowanych 8 maja 1874 roku.

Kilka dni później taki sam los miał spotkać kolejnego uczestnika wyprawy, Jamesa Humphreya. I tu wędrowcy, jak relacjonował Alfred, również jednym głosem postanowili skonsumować martwego kompana. Po kolejnych kilku dniach zmarł następny... i jeszcze jeden..., a kolejny miał ponieść śmierć w jakimś bliżej nieokreślonym wypadku.... Ci, którzy umierali, mieli być zjedani przez tych, którzy jeszcze trzymali się przy życiu.

– Wreszcie zostało nas dwóch, ja i Shannon Wilson Bell. Czuję, że on coś szykuje na mnie. On zaatakował pierwszy toporkiem – ja się tylko broniłem. Wiedziałem, że muszę go zabić, żeby on nie zabił mnie. I tak zrobiłem – zakończył

SCENY Z DZIKIEGO ZACHODU



relację Packer, przysięgając, że zeznał prawdę i tylko prawdę.

Dlaczego wcześniej przedstawiał zupełnie inną wersję zdarzeń? Tego nie był w stanie wyjaśnić. W miejscach wskazanych przez Packera nie udało się znaleźć żadnych szczątków jego towarzyszy. Przedstawiciele władzy nie byli przekonani do jego wersji zdarzeń, mroczna opowieść Alfreda wydawała się grubymi nićmi sztyta, wzbudzała coraz więcej niejasności i podejrzeń. Podejrzewano, że „cudownie” ocalały wędrowiec mógł przyczynić się do śmierci swoich kompanów, więc mężczyzna trafił do aresztu. Nie pozostawiające najmniejszych wątpliwości dowody pojawiły się już w sierpniu 1874 roku.

Koszmarne odkrycie

John Randolph, amerykański artysta-malarz, zapuścił się w góry San Juan w poszukiwaniu urzekających pejzaży, które chciał przenieść na płótno. W pewnym miejscu, na brzegu rzeki Gunnison, zamiast pięknego widoku odkrył mroźące krew w żyłach znalezisko. Choć z daleka wyglądało to jak skromne obozowisko, gdzie odpoczywa kilka osób, to z bliska okazało się, że to pięć leżących obok siebie ludzkich ciał w stanie

rozkładu. Mężczyźni mieli rozszarpane ubrania, jeden z nich pozbawiony był głowy, na ciałach pozostałych, głównie na piersiach i udach, dało się zauważyć wykrojone płyty mięsa. W powietrzu unosił się dławiący fetor ludzkich zwłok.

Randolph spisał wszystkie swoje obserwacje, zaznaczył miejsce precyzyjnie na mapie, po czym wrócił do miasta, gdzie zawiadomił o sprawie śledczych. Koroner ze swoimi współpracownikami udał się na miejsce kaźni. Trafił tam również jeden z uczestników zimowej wyprawy, który zidentyfikował ciała. Jak można było się spodziewać, byli to zaginionieni poszukiwacze złota.

Biegły analizując zastany obraz, wysnuł wniosek, że mężczyźni mogli zostać zaatakowani i pozbawieni życia zniemacka, np. we śnie. Wskazywał na to sposób ułożenia ciał – tak jakby śmierć dosięgła wędrowców nocą, gdy spali ułożeni wokół ogniska. Nie znaleziono przy nich żadnej broni ani pieniędzy. Ubrania mieli porozrywane, a głębokie rany szarpane na piersiach i udach wskazywały na użycie topora lub noża. Upiorny widok nie pozostawiał wątpliwości, że „swoje” zrobił tu upływający czas i wygodnia leśna zwierzyna, ale oczywiste było, że żadne zwierzę nie położyłoby trupem pięciu rosnących mężczyzn, siejąc aż takie spustoszenie. Chyba że tym „zwierzęciem” był człowiek...

Gdy stróż prawa udali się do więzienia, aby z głównym podejrzanym skonfrontować swoje makabryczne odkrycie, okazało się, że Packera już tam nie było... Jakimś cudem udało mu się wyslizgnąć z aresztu. Przepadł jak kamień w wodę. Choć oczywiście wysłano za nim list gończy, to na dzikich, rozległych terenach Stanów Zjednoczonych w tamtych czasach ujęcie zbiega było wyjątkowo trudne, niemal niemożliwe.

Sąd nad mordercą-kanibalem

Kanibal dziewięć lat ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości. Dopiero w marcu 1883 roku Frenchy Cabizon, jeden z uczestników zimowej wyprawy w góry przypadkiem rozpoznał go po... śmiechu w salonie w Forcie Fetterman, w stanie Wyoming. Jak się okazało, przez ostatnie lata wiódł tam spokojny żywot pod przybranych nazwiskiem Johna Schwartze. Po zatrzymaniu ponownie trafił przed oblicze wymiaru sprawiedliwości, do sądu w Lake City, ale tym razem już z mocnymi, poważnymi zarzutami morderstwa.

Packer podczas procesu przedstawił kolejną, różniącą się od poprzedniej wersję zdarzeń. Tym razem opowiadał, jak to podczas wędrówki przez zaśnieżone góry, ekstremalnie trudne warunki i szybko kończące się zapasy jedzenia doprowadziły jego towarzyszy, zwłaszcza Shannona Bella, do szaleństwa.

– Rozbiliśmy obóz nad rzeką, czekając na poprawę pogody, bo nie byliśmy w stanie dalej przedzierać się przez zasy. Jedzenie się skończyło, łód był zbyt gruby, aby przebić się do wody i złowić jakieś ryby. Jedliśmy żywicę z drzew. Było coraz gorzej. Któregoś razu Swan dał mi strzelbę i polecił pójść głębiej w las, żeby upolować tam jakąś zwierzynę. Błądziłem, szukałem, ale niczego nie udało mi się ustrzelić. Gdy wróciłem do obozu, zastałem tam Bella siedzącego przy ognisku, zjadał się jakimś świeżo upieczonym kawałkiem mięsa... Wszyscy pozostali leżeli wokół bez ruchu, w kałużach krwi, z ranami jak po uderzeniu toporem. Jeden miał na wskroś roztrzaskaną głowę – zeznawał Packer.

Mężczyzna relacjonował, że gdy tylko Bell go zauważył, natychmiast rzucił się na niego z toporem. W odpowiedzi Alfred sięgnął po sztucer i wymierzył kulę prosto w brzuch agresora. Gdy ten padł na ziemię, brocząc krwią, Packer w samoobronie dobił go jego toporem.

– Przecież gdybym tego nie zrobił, skończyłbym jak pozostali – bronił się oskarżony.

Alfred próbował następnie wydostać się ze spływającego krwią obozowiska, ale intensywne opady śniegu na dobre zasypały wszystkie szlaki, odcinając go od reszty świata.

– Musiałem więc zostać w obozie, czekać na poprawę pogody, stopnienie lodów... Nie miałem już nic do jedzenia, a przecież nie chciałem umrzeć z głodu, więc musiałem to zrobić: sięgnąłem po mięso, które Bell wykroił z uda kolegi... Każdego dnia próbowałem się stamtąd wydostać, ale wciąż zasy były nie do przejścia, więc wziąłem się za kolejne kawałki mięsa... W sumie przeżyłem tak dwa miesiące, zanim mogłem ruszyć dalej w drogę. Inaczej niechybnie umarłbym z głodu! – argumentował Packer.

Stryczek czy więzienie?

Byla to kolejna, trzecia już wersja zdarzeń przedstawiana przez zatrzymanego, co samo w sobie podważało jej wiarygodność. Za każdym razem Alfred opowiadał coś innego, zawsze wybielając swoją osobę, zasłaniając się samoobroną, czy po prostu śmiercią z wycieńczenia swoich kompanów. Tymczasem nikt nie miał wątpliwości, że gdyby Packer rzeczywiście był niewinny, to nie miałby podstaw, aby tak lawinowo w zeznaniach, tylko od początku trzymałby się jednej wersji.

13 kwietnia 1883 roku Alfred Packer, raptem miesiąc od ujęcia go w saloonie i 9 lat od tragicznych zdarzeń w górach San Juan, został skazany na karę śmierci za morderstwo, którego motywem miał być rabunek, ograbienie towarzyszy, a nie samoobrona czy chęć przetrwania. Sędzia Melville Gerry prowadzący rozprawę nie

miał wątpliwości, że tak naprawdę Packer zabił swoich towarzyszy nocą, zniecka, we śnie, na co wskazywały wszystkie zebrane na miejscu zbrodni ślady. Zrobił to, aby ich ograbić (zabrał im wszystkie pieniądze i broń), a następnie... skonsumować.

– Gdy ty i twoje ofiary znaleźliście się na tym odludziu, gdy bezkresne góry oddzieliły was od reszty świata, gdy noc otuliła was płaszczem ciemności i wszyscy położyli się spać, nie spodziewając się żadnego zagrożenia, a tym bardziej czyhającego we własnym obozie – ty zaatakowałeś zniecka. Nikt nie mógł widzieć tego, co się tam wydarzyło, nikt nie mógł usłyszeć krzyku zabijanych ofiar. Nie dość, że ograbiłeś ich z tego co najcenniejsze – z życia, to jeszcze zabrałeś ich dobytek, pieniądze i broń. Na kolejne odrażające detale tej zbrodni pozwolę sobie spuścić zasłonę milczenia. Alfredzie Packer – zasiałeś wiatr, więc musisz teraz zbierać burzę! Społeczeństwo nie może wybaczyć ci zbrodni, której się dopuściłeś. Dokonałeś zamachu na ludzkie życie, więc teraz tobie życie zostanie odebrane. Zostajesz skazany na śmierć poprzez powieszenie. I niech Bóg ma w opiece twoją zbłąkaną duszę – podsumował sędzia Gerry w uzasadnieniu wyroku.

Wyrok miał zostać wykonany miesiąc później, w maju 1883 roku, Kanibal nigdy jednak nie został stracony, o czym zdecydowały specyficzne aspekty prawne rozwijającego się wymiaru sprawiedliwości. Niedługo po ogłoszeniu wyroku, adwokat Packera skierował do sądu najwyższego



SCENY Z DZIKIEGO ZACHODU

w Kolorado wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy. Jego zdaniem, mężczyzna nie powinien zostać skazany w 1883 roku za morderstwo, którego dopuścił się w 1874 roku, gdyż wówczas... nie było jeszcze odpowiednich regulacji prawnych na to pozwalających. Mianowicie w czasie popełnienia zbrodni Kolorado miało status Terytorium z innym prawodawstwem niż w 1883 roku, gdyż już było częścią Stanów Zjednoczonych.

Zawirowania prawne uchroniły Packera od niechybnej śmierci. Ponownie został on osądzony i skazany za morderstwo, ale tym razem dostał „jedynie” 40 lat więzienia – 8 lat za każdą ze swoich ofiar.

Po 16 latach odsiadki Alfred Packer wystąpił z prośbą o warunkowe zwolnienie z więzienia. Początkowo jego wniosek został odrzucony, ale sprawą zainteresowała się lokalna gazeta, „Denver Post”, która wszczęła kampanię na rzecz uwolnienia Packera, przekonując, że jest niewinny. Inicjatywę poparł m.in. jeden z miejscowych przedsiębiorców, licząc na to, że Alfred po uwolnieniu może stać się... atrakcją w jego cyrku.

Packer złożył kolejną prośbę o warunkowe zwolnienie, tym razem uzasadniając ją kiepskim stanem zdrowia. Więzienni lekarze stwierdzili u niego kłębuszkowe zapalenie nerek. W styczniu 1901 roku wniosek został zatwierdzony: kanibal wyszedł z za krat. Długo jednak nie nacieszył się wolnością: zmarł w 1907 roku. W międzyczasie próbował jeszcze oczyścić się z postawionych mu zarzutów, wnioskuje o całkowite uniewinnienie. Nie zostało jednak ono pozytywnie rozpatrzone.

Kanibal wiecznie żywy

Alfred Packer zapisał się w dziejach amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości jako pierwszy skazany morderca-kanibal. Przez lata jego historia wzbudzała wiele kontrowersji – od głosów oburzenia, że za swój odrażający czyn uniknął kary śmierci, aż po słowa obrony



i twierdzenia, że jest niewinny, a do kanibalizmu popchnęła go ekstremalna sytuacja, w jakiej się znalazł – sam, głodny, w górach, otoczony przez nieżyjących już towarzyszy.

Choć trudno w to uwierzyć, ale jego nazwisko znalazło swoje miejsce w amerykańskiej pop-kulturze i pojawia się w różnych, mniej i bardziej makabrycznych kontekstach. Studenci Uniwersytetu Kolorado w Boulder nazwali jego imieniem restaurację. Funkcjonująca do dziś „Alfred Packer Restaurant & Grill” oferuje w swoim menu m.in. meksykańskie specjały El Canibal. W 1990 roku death-metalowy zespół Cannibal Corpse zadedykował swoją debiutancką płytę właśnie Packerowi. Powstało kilka filmów fabularnych, a nawet dwa musicale poświęcone jego postaci. Jedną z atrakcji turystycznych stanu Kolorado jest „Szlak Kanibala z Kolorado” prowadzący przez miejsca związane z jego życiem i zarazem śmiercią jego towarzyszy. ■

Rozwiązanie krzyżówki z paragrafem

POZIOMO: hultał, dygnitarz, namiaszka, sens, Arka, anomalia, fotostkad, mulat, Arnold, nury, denat, kuchta, akcja, ruch, libretto, syndrom, Rabka, wóz, pochwała, oprawa, panda.

PIONOWO: hegemon, lalka, adapter, donos, zwada, era, sło, Aza, kciuk, falstart, tęcznica, smarkaty, tunochod, doloł, manele, dżdubacz, Adam, turban, chlapa, trop, team, owad, szok, nury, obcy.

Konrad Buraczewski

JUBILAT

Sławomir KOSMAŁA

Zawsze korzystała z wyposażonego w sygnalizację świetlną przejścia dla pieszych, co tylko nieznacznie wydłużało czas jej przybycia do budynku szkoły. Tego dnia jednak bardzo się spieszyła. Zasnęła na pierwszej lekcję, co nigdy jej się dotąd nie zdarzyło i z tego powodu chciała dotrzeć na zajęcia jak najprędzej.



Czterdzieste urodziny to nie „byle jakie” święto i nie wypada jubilatą „byle jakim łiskaczem” obdarować. Zwłaszcza wówczas, gdy jest nim kolega z pracy, do tego kolega szanowany, lubiany i pijący. Jubilat doktor Julian N. wszystkie wymienione trzy zalety posiadał, a nawet kilka więcej. Był też, jak to lekarz, człowiekiem wykształconym i obytym, zachować się więc potrafił. „Łiskacza” nie schował „na potem”, lecz zaproponował gościom po symbolicznym drinku. Pora była akurat późnowieczorna, czyli właściwa. Goście wystąpili w następującym składzie: 50-letni anestezjolog Ireneusz R. (też na dyżurze) i dwie siostry (pielęgniarki), ale nie mniej bliskie (także jak najbardziej dyżurujące). Siostry także miały lat pięćdziesiąt, tyle że łącznie.

Sto lat! Sto lat!

B było miło i spokojnie, bo ciężkich przypadków na oddziałach nie było, a wszystkie lżejsze spały, co się nawet zdrowym po północy zdarza. Nie obudziło ich nawet „sto lat”, bo śpiewane było cicho, odpowiedzialnie, z troską o śpiących pacjentów. Zaraz po odśpiewanych życzeniach siostry się opamiętały i postanowiły rozejrzeć się po oddziałach, czy aby jakiś przypadek w międzyczasie złośliwie im nie umarł. Na odchodnym dostały po szybkim drinku na „drugą nogę”, żeby im się kulawo nie pracowało.

Z pierwszym brzaskiem anestezjolog doktor Ireneusz R. też sobie poszedł, wybierając pracę, choć przecież mógł wybrać lepiej, bo w butelce została jeszcze prawie połowa, a na służbowej leżance niedopity kolega po fachu. Opuszczony przez gości doktor Julian N. w pierwszym, nieprześlądanym odruchu zamierzał nieskończoną butelkę schować na inną, lepszą okazję, ale kiedy już przemyślał, to uznał, że lepszej okazji jak czterdzieste urodziny nie ma i dokończył butelkę samodzielnie.

Dyżur zakończył się dla wszystkich szczęśliwie. Nikt nie umarł, a jubilat obudził się w samą porę, czyli na fajrant. Doktor Julian N. wyszedł z oddziału, udając się na szpitalny parking, gdzie miał zaparkowany prawie nowy samochód niemieckiej marki Volkswagen Passat. Udał się w towarzystwie siostry Anny K. Widziało to przynajmniej z dziesięć osób, ale nikt się nie zdziwił, bo z towarzystwa siostry doktor od pewnego czasu korzystał także publicznie. Siostra Anna K. była jedną z dwóch sióstr biorących udział w nocnej uroczystości. Tą ładniejszą. Doktor Julian N. lubił ładne siostry. Mijając pracownika gospodarczego krzątającego się na szpitalnym parkingu siostra zaproponowała doktorowi, że to ona poprowadzi samochód. Zrobiła to na tyle głośno, że pracownik propozycję usłyszał. Dla wtajemniczonych w stan trzeźwości doktora Juliana N. zasłyszana propozycja byłaby jak najbardziej zrozumiała, bo siostra wypita w nocy tylko „na dwie nogi”. Pracownik gospodarczy wtajemniczony jednak nie był, dlatego tego nie zrozumiał i bardzo się zdziwił,

gdyż wnioskował z codziennych obserwacji, że doktor samochodu nikomu prowadzić nie daje. Z tego tylko powodu propozycję siostry Anny K. dobrze zapamiętał.

Kto prowadził?

Dwunastoletnia Marysia mieszkała niedaleko szkoły. W linii prostej miała niecałe 400 metrów. Nigdy jednak nie korzystała z tej skróconej drogi, bo byłaby zmuszona przejść na drugą jej stronę w miejscu niedozwolonym. Jezdnia nie należała wprawdzie do szczególnie ruchliwych, ale Marysia obiecała rodzicom, że będzie ją pokonywać tylko w miejscu do tego celu wyznaczonym. Zawsze korzystała z wyposażonego w sygnalizację świetlną przejścia dla pieszych, co tylko nieznacznie wydłużało czas jej przybycia do budynku szkoły. Jednak tego dnia bardzo się spieszyła. Zasnęła na pierwszej lekcję, co nigdy dotąd jej się nie zdarzyło, dlatego chciała dotrzeć na zajęcia jak najprędzej.

Wbiegła na jezdnię wprost przed nadjeżdżającego Passata. Kierowca nie zdążył nawet dotknąć stopą hamulca. Samochód uderzył najpierw w nogi dziewczynki, w wyniku czego dziecko przetoczyło się na maskę pojazdu, a następnie z impetem uderzyło głową w przednią szybę. Siła uderzenia była tak duża, że ciało zostało odrzucone od pojazdu na odległość kilkunastu metrów. Dziewczynka upadła bezwładnie na tę stronę jezdni, na którą zamierzała dobiec. Na chodnik potoczył się but, który podczas wypadku zsunął się z jej stopy.

Przybyli na miejsce funkcjonariusze policji nie mieli problemów z ustaleniem pojazdu biorącego udział w wypadku. Pajęczyna rozbitej przedniej szyby Passata z charakterystycznym półkulistym wgłębieniem wymownie o tym świadczyły. W pobliżu samochodu stała młoda kobieta i około czterdziestoletni mężczyzna, żywo rozmawiali.

– To ten samochód uczestniczył w wypadku? – policjant zwrócił się do mężczyzny.

Odpowiedzią było potwierdzające skinienie głową.

– Kto prowadził samochód?

Tym razem mężczyzna był jeszcze mniej komunikatywny, bo zamiast odpowiedzi spojrzał wyciekająco na towarzyszącą mu młodą kobietę.

– To ja prowadziłam samochód – oświadczyła Anna K.

Policjanci podjęli rutynowe działania zmierzające do zabezpieczenia miejsca zdarzenia i pozyskania materiału dowodowego. Przeprowadzono m.in. badanie kierowcy na zawartość alkoholu w wydychanym powietrzu. Badanie dało wynik negatywny. Kobieta była całkowicie trzeźwa. Z żądaniem przeprowadzenia badania zwrócono się również do mężczyzny, który początkowo nie wyraził na to zgody, argumentując, że był jedynie pasażerem pojazdu. Policjanci przekonali go jednak, że wykonanie badania wszystkich osób znajdujących się w pojeździe sprawcy wypadku jest rutynowe,



a nawet obowiązkowe, jeśli w jego wyniku są ranni lub zabici. Policja ma w takim przypadku uprawnienia do dokonania badania polegającego na pobraniu krwi, nawet przy użyciu siły. Okazało się to zbyt ciężkie. Julian N. uznał się za przekonanego i zgodził na badanie alkomatem. „Wydmuchał” 0.8 promila. Po kilkunastu minutach badanie powtórzono. Wynik był nieznacznie niższy od poprzedniego, co znaczyło, że Julian N. znajduje się w okresie trzeźwienia, wciąż jednak pod wpływem alkoholu.

W oku kamery

Policji nie udało się odnaleźć bezpośredniego świadka zdarzenia. Nikt nie widział samego wypadku, jak również pojazdu sprawcy. Przebieg zdarzenia udało się odtworzyć tylko dzięki zapisowi z kamery monitoringu miejskiego. Kamera

została zamontowana kilka miesięcy wcześniej na wniosek dyrekcji szkoły, oraz rodziców obawiających się o bezpieczeństwo swoich dzieci. Jak okazało się, nie uchroniła ona przed nieszczęściem, ale bardzo pomogła w odtworzeniu samych okoliczności wypadku.

Zapis nie był najwyższej jakości, ale wystarczający na tyle, by dostrzec nawet leżący na chodniku but dziewczynki. Z zapisu wynikało jednoznacznie, że samochód zwolnił dopiero po potrąceniu dziecka, o czym świadczyły rozświetlone światła „stopu” pojazdu. Światła po chwili jednak wyłączyły się, a samochód nie zatrzymując się pojechał dalej, opuszczając pole widzenia kamery. Twarzy kierowcy nie udało się zarejestrować, kamera uchwyciła tylko tył pojazdu.

Prokurator przeglądający materiał dostrzegł jednak, że po kilku minutach (dokładnie po czterech i pięćdziesięciu sekundach) ten sam samochód (świadczyły o tym doskonale widoczne numery rejestracyjne), wrócił na miejsce wypadku. Tym razem kamera zarejestrowała przód pojazdu i rozróżnienie znajdujących się w nim osób stało się możliwe. Passata prowadziła młoda kobieta. Pasażerem był mężczyzna około czterdziestoletni. Natychmiast po zatrzymaniu pojazdu oboje wysiedli pospieszenie z pojazdu i podbiegli do gromadki zgromadzonych już wokół leżącego dziecka gapiów. Mężczyzna natychmiast po zbadaniu dziewczynki podjął akcję reanimacyjną. Kobieta wspierała go w ratowaniu dziecka. Niedługo potem okazało się, że ich działania były bezskuteczne. Dziecko zmarło jeszcze przed przybyciem karetki pogotowia.

Wątpliwości

Prokurator zlecił policji zebranie dodatkowego materiału dowodowego, który pozwoli na ustalenie, czy sprawca wypadku oddalił się z miejsca wypadku, czy jedynie opuścił pole widzenia kamery. Szczególnie ważne dla określenia kwalifikacji prawnej było ustalenie celu oddalenia się, o ile materiał dowodowy pozwoli na stwierdzenie, że takie oddalenie nastąpiło. Jeżeli sprawca oddalił się z zamiarem uniknięcia odpowiedzialności, popełnił czyn zabroniony i niezależnie od jego winy w samym wypadku podlega odpowiedzialności karnej.

Kolejnym zadaniem zleconym policji przez prokuratora było ustalenie osoby kierującej Passatem w chwili zdarzenia, czyli wskazanie sprawcy wypadku. Dotychczas opierano się bowiem jedynie na zeznaniach Juliana N. oraz Anny K., którzy zgodnie stwierdzili, że wspólnie wyjechali ze szpitala i że to Anna K. przez całą drogę, aż do chwili wypadku prowadziła Passata. Oboje byli jednak uczestnikami zdarzenia i ich zeznania wymagały zweryfikowania.

Zadanie wyjaśnienia sprawy otrzymali doświadczeni policjanci, którzy przeprowadzili szereg rozmów z pracownikami szpitala, w tym z najbliższymi współpracownikami właściciela Passata – doktora Juliana N.

Anestezjolog Ireneusz R. po otrzymaniu zapewnienia o dochowaniu dyskrecji przyznał, że w nocy poprzedzającej wypadek pił w trakcie dyżuru urodzinowy alkohol ze swoim kolegą Julianem N. i dwiema pielęgniarkami. Przyznał, że jedną z nich była Anna K. Wypiła jednak niewiele. Ile wypił jubilat, nie wie. Potwierdził także, że doktor Julian N. raniem opuścił szpital razem z siostrą Anną K.

Żadna z osób, z którymi rozmawiali policjanci nie widziała jednak, które z tych dwojga wsiadło za kierownicę Passata należącego do doktora. Śledczy dotarli także do pracownika gospodarczego, który doskonale pamiętał, jak siostra Anna K. proponowała doktorowi, że to ona poprowadzi samochód. Pracownik nie słyszał jednak odpowiedzi doktora. Nie widział także, kto wyjechał samochodem ze szpitalnego parkingu. Ostatnią szansą potwierdzenia, że to Anna K. kierowała pojazdem feralnego dnia mogło być zeznanie pracownika ochrony, pełniącego służbę na przy bramie wyjazdowej ze szpitala.

Pracownik doskonale pamiętał ten dzień i samochód doktora Juliana N. Bowiem w tym dniu, mechanizm sterujący szlabanem przy bramie zepsuł się i mężczyzna zmuszony był obsługiwać go ręcznie. Za każdym razem musiał wychodzić z portierni, trwało to dłużej niż zwykle i niektórzy kierowcy niecierpliwili się. Doktor Julian N. niecierpliwiał się bardziej od innych i nawet nawymyślał portierowi. Dzięki temu dał się dobrze zapamiętać. Mężczyzna był pewien, że doktor Julian N. nie prowadził tego dnia samochodu. Siedział w wyjeżdżającym ze szpitala samochodzie na siedzeniu pasażera. Autem kierowała natomiast, z całą pewnością, młoda kobieta, znana mu z widzenia pielęgniarka. Ochroniarz nie znał nazwiska kobiety, ale po okazaniu mu zdjęcia potwierdził, że była nią Anna K.

A jednak wyrok

Pomimo tego, że kierująca pojazdem była w chwili wypadku trzeźwa, prokurator skierował sprawę do sądu. Postawił Annie K. zarzut spowodowania wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym. Swoje oskarżenie oparł na opinii biegłego sądowego. Biegły, jako sprawcę wskazał wprawdzie dziewczynkę, która wbiegając nagle na jezdnię w miejscu do tego niedozwolonym, spowodowała zagrożenie w ruchu drogowym z tak tragicznym dla siebie skutkiem, ale uznał jednocześnie, że niewłaściwa technika jazdy kierującej pojazdem – Anny K., przyczyniła się do wypadku drogowego, czyniąc kierującą współwinną. Dowodził tego zapis monitoringu, na którym moment uruchomienia przez kierowcę hamulców w pojeździe (potwierdzony załączonym światłem „stop”) nastąpił z wyrażonym opóźnieniem i dopiero chwilę po zderzeniu z przebiegającym jezdnię dzieckiem. Anna K. nie potrafiła wytłumaczyć powodu tego opóźnienia. Zlecone przez sąd badania psychofizyczne kierującej także tego nie wyjaśniły.



Sąd uwzględnił argumentację prokuratury, uznając, że kierująca Passatem oddaliła się z miejsca wypadku. Wprawdzie po blisko pięciu minutach powróciła na miejsce wypadku i wraz z pasażerem udzieliła fachowej pomocy poszkodowanej, ale oddalając się popełniła czyn zabroniony. Prokurator dowodził, że Anna K. oddaliła się z zamiarem uniknięcia odpowiedzialności. Mogła bowiem zakładać, że wypity w trakcie nocnego dyżuru alkohol mógł pozostać w jej organizmie. Przez blisko pięć minut zastanawiała się, jaką podjąć decyzję. W tym czasie poszkodowana w wypadku 12-letnia Marysia umierała leżąc na jezdni. Obronca oskarżonej przekonywał sąd, że oskarżona oddaliła się w wyniku szoku spowodowanego tragicznym zdarzeniem i powróciła na miejsce wypadku natychmiast, gdy ten stan ustąpił. Udzieliła nawet wspólnie z pasażerem – lekarzem pomocy. Dzięki temu dziewczynka otrzymała fachową pomoc jeszcze przed przybyciem karetki pogotowia. Zasądzono niewielki wyrok, do tego w zawieszeniu, więc Anna K. opuściła sąd, jako wolna osoba. Podczas rozprawy doszło do przykrego incydentu.

Ojciec zmarłej w wyniku wypadku dziewczynki, występował w sądzie jako oskarżyciel posiłkowy i był bardzo niezadowolony z postanowienia sądu. Po ogłoszeniu wyroku „dorzucił co nieco” i to już nie, jako oskarżyciel posiłkowy, ale bardziej „prywatnie”:

– Wszyscy dobrze wiecie, że to ten „doktorek” prowadził samochód. „Po pijaku” zabił mi dziecko, a teraz chcecie mu to darować. Ja mu tego nie daruję! Nigdy! Spotka go zasłużona kara! Dopilnuję tego!



„Żelazny” świadek

Kilka tygodni po rozprawie na policję zgłosił się mężczyzna, który oświadczył, że był świadkiem wypadku przed szkołą. Nie zrobił tego wcześniej z obawy przed odpowiedzialnością karną z tytułu uprawianego przez siebie zawodowo zbieractwa złomu w miejscach nie zawsze do tego dozwolonych. Nie tylko zresztą z tego powodu. Brakło mu wiary w skuteczność zeznań zwykłego „złomiarza”.

Feralnego dnia zawód swój uprawiał w znajdującej się w pobliżu szkoły opuszczonej fabryce. Opuszczając zdewastowany obiekt z naręczem żelazta, widział moment wypadku oraz to, co nastąpiło bezpośrednio po nim. Mężczyzna zeznał, że samochód po oddaleniu się z miejsca wypadku na odległość około dwustu, trzystu metrów zatrzymał się. Kilka minut stał z włączonym silnikiem, po czym drzwi po obu jego stronach otworzyły się niemal jednocześnie. Z pojazdu wysiedli młoda kobieta i około czterdziestoletni mężczyzna. Mężczyzna, który dotychczas prowadził pojazd, zajął miejsce pasażera, natomiast kobieta usiadła na miejscu kierowcy. Po tej zamianie pojazd natychmiast zawrócił i zatrzymał się w pobliżu miejsca wypadku, gdzie zbierali się już przypadkowi przechodnie.

Na pytanie, dlaczego przestał się obawiać odpowiedzialności za kradzież złomu z opuszczonej fabryki i zgłosił się na policję po tak długim czasie od zdarzenia, odpowiedział, że wcale nie przestał. Na policję kazało mu się zgłosić jego sumienie, które choć takie nędzne, zbieracze, to sprawiedliwe. Ono to właśnie nie pozwoliło dopuścić do tego, aby mężczyzna, który spowodował wypadek, uniknął sprawiedliwości.

Oświadczenie zbieracza złomu poddawało w wątpliwość zeznanie ochroniarza, który stwier-

dził, że to Anna K. prowadziła pojazd opuszczający szpital, a przede wszystkim podważało zeznanie samej Anny K., która przyznała się do kierowania samochodem i spowodowania wypadku. Funkcjonariusze postanowili wyjaśnić to w pierwszej kolejności z ochroniarzem. Mężczyzna nie pracował już na terenie szpitala i prawdopodobnie nie pracował w ogóle. Jego dotychczasowy pracodawca poinformował, że niedługo po rozprawie sądowej sam zrezygnował z pracy. Było to bardzo zaskakujące, ponieważ do niedawna bardzo zależało mu na pracy i z powodu trudnej sytuacji finansowej brał nawet chętnie dodatkowe dyżury.

Policjanci zastali mężczyznę w trakcie mycia samochodu, przed jego własnym domem. Dom był wprawdzie jednorodzinny, ale na pewno bardzo stary i jeszcze bardziej zaniedbany. Samochód natomiast przeciwnie. Z pewnością nie był też najtańszy. Niewykluczone, że myty był nawet po raz pierwszy. Wyglądało na to, że stopa życiowa byłego ochroniarza podniosła się równie nagle, co zdecydowanie. Mężczyzna nie chciał rozmawiać z funkcjonariuszami. Oświadczył, że wszystko co miał do powiedzenia, powiedział już w sądzie i nie ma nic do dodania. Wobec takiej postawy dostał wezwanie i to już nie na rozmowę, ale na przesłuchanie, jak na razie w charakterze świadka.

Pies ogrodnika

Anna K. wezwania nie dostała tylko dlatego, że była od wezwania szybsza. Przyszła bez wezwania, bo jak wyznała, zebrało jej się na rozmowę, a nawet na zwierzenia. Na początek zwierzyła się z najważniejszego, czyli z tego, że ona niezmiennie kocha doktora Juliana N., a doktor jej już nie, tylko siostrę z „interny”, chociaż ta „wywłoka” jest starsza i brzydsza. Za przekierowanie doktorskich uczuć Anna K. posiada do Juliana N. żal, bo gdy doktor ochoczo korzystał z jej uczuć, to obiecywał zainaugurowane małżeństwem życie długie i szczęśliwe, a teraz nie obiecuje niczego. Obietnice składał każdorazowo nie tylko przed skorzystaniem z uczuć, ale także i po, co utwierdzało Annę K. w przekonaniu, że doktor kocha nie tylko ciałem, ale i duszą.

Teraz nie kocha ani jednym, ani drugim, a powinien zwłaszcza po tym, co Anna K. dla niego zrobiła. Nie chodziło tu bynajmniej o standardowe uprzejmości, które wykonuje dla kochanego mężczyzny kochająca kobieta, ale o inne, zupełnie niestandardowe. Anna K. wyznała, że z miłości właśnie do Juliana N. zgodziła się kiedyś zamienić z nim miejscami i zasiąść za kierownicą Passata. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby chwilę wcześniej doktor nikogo nie potrafił. Namówił ją na to sam doktor, ostrzegając, że jak on pójdzie „siedzieć” za wypadek „po pijaku”, to ślubu długo nie będzie, a kto wie czy w ogóle, bo w więzieniu człowiek się zmienia. Zapewniał też, że ona za wypadek nie odpowie, bo jest trzeźwa, a dziewczynka wybiegła

na jeźdnię w sposób niespodziewany i w miejscu niedozwolonym. Stało się jednak inaczej i teraz ciąży na niej wyrok. Wprawdzie w zawieszeniu, ale zawsze. Anna K. mogłaby znieść ten ciężar, ale nie sama, tylko wspólnie z ukochanym doktorem. Teraz, gdy okazało się, że doktor znosić wspólnie z Anną K. niczego nie zamierza, to ona woli, żeby doktor nie korzystał już z gorących uczuć siostry z „interny”, tylko z zimnej pryczy więziennej celi.

– Jeżeli ja nie mogę go mieć, to nie będzie go miała żadna – podsumowała swoje zwierzenia.

Kto mieczem wojuje...

Tym razem rozprawa toczyła się przeciwko Julianowi N. Z powodu uzasadnionego podejrzenia dalszego mataczenia ze strony oskarżonego, doktor okres oczekiwania na rozprawę spędził w areszcie. Życzenie Anny K. spełniło się zatem w tempie niemal natychmiastowym. Winę za prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu i spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym udowodniono Julianowi N. bez trudu. Znacząco obciążały go zeznania Anny K., która przed sądem wykazała się konsekwencją kobiety, której uczucia zostały zranione. Nie tylko jednak. Badanie na zawartość alkoholu, któremu poddał się zaraz po wypadku wspólnie z Anną K. oraz zeznania innych świadków, w tym świadka naoczego, którym był zbieracz złomu, ostatecznie go pograżyły.

Eksochroniarz przyznał się do składania fałszywych zeznań i przyjęcia za to od oskarżonego równowartości nowego samochodu osobowego. Został za



to ukarany karą ośmiu miesięcy pozbawienia wolności z zawieszeniem jej wykonania na okres lat trzech. Za to samo i w zbliżonym wymiarze ukarana została Anna K. Jednocześnie poprzednia jej kara za spowodowanie wypadku została sądownie uchylona.

Julian N. został skazany na 10 lat pozbawienia wolności i pięcioletni zakaz prowadzenia pojazdów. Sąd uznał, że chociaż dziewczynka wtargnęła na jeźdnię, co było bezpośrednią przyczyną wypadku, to Julian N. jest współwinnym zdarzenia. Stan nieatrakcyjności kierującego miał bezpośredni wpływ na rozpoczęcie przez niego hamowania z tak tragicznym w skutkach opóźnieniem. Biegli sądowi ocenili, że samego wypadku nie można było wprawdzie uniknąć, jednak wcześniejsze rozpoczęcie hamowania mogłoby złagodzić jego skutki. Nie bez znaczenia dla wysokości wyroku miała postawa Juliana N., który od momentu wypadku wykazał wiele inicjatywy w ukrywaniu jego rzeczywistego przebiegu i podjął bezprawne działania w celu uniknięcia odpowiedzialności za swój czyn. Nakłanianie do składania fałszywych zeznań jest zawsze surowo oceniane przez sąd. Prokurator, podobnie jak oskarżyciel posiłkowy, wnioskowali wprawdzie o 12 lat więzienia i zakaz prowadzenia pojazdów „na zawsze”, ale ogłoszony wyrok uznali za odpowiedni, a nawet surowy. (W myśl kodeksu karnego 12-letnie więzienie to maksymalna kara za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym pod wpływem alkoholu.)

Oskarżyciel posiłkowy, którym podobnie jak w poprzedniej rozprawie był ojciec nieżyjącej Marysi, już po ogłoszeniu wyroku dorzucił także i tym razem swoje „co nieco” i oczywiście „prywatnie” w stronę skazanego:

– Spotkała cię zasłużona kara! Mówiłem, że ci tego nie daruję! I że tego dopilnuję!

★ ★ ★

W tej tragicznej sprawie nie wszyscy jednak ucierpieli. Jedna osoba z pewnością może uważać się nawet za wygraną. Niewątpliwie jest to „żelazny” świadek oskarżenia, którym był mężczyzna zbierający złom w opuszczonej fabryce w pobliżu szkoły. Nie tylko nie poniósł odpowiedzialności za zbieranie złomu w miejscach niedozwolonych, czego tak się obawiał (niepotrzebnie, bo i tak było to mało prawdopodobne), ale żadnego złomu zbierać już nie musi. Jak sam twierdzi, znalazł podczas zbierania złomu coś wartościowego, co pozwoliło mu spłacić wieloletnie długi i skończyć z dotychczasowym życiem. Nie wyjawiał, co to było. Pytania zbywa tajemniczym uśmiechem. Podjął nawet stałą pracę, w czym pomógł mu ojciec zabitej przed szkołą dziewczynki. Nie ma w tym nic dziwnego. Ludzie powinni sobie przecież pomagać. ■

Sławomir Kosmala

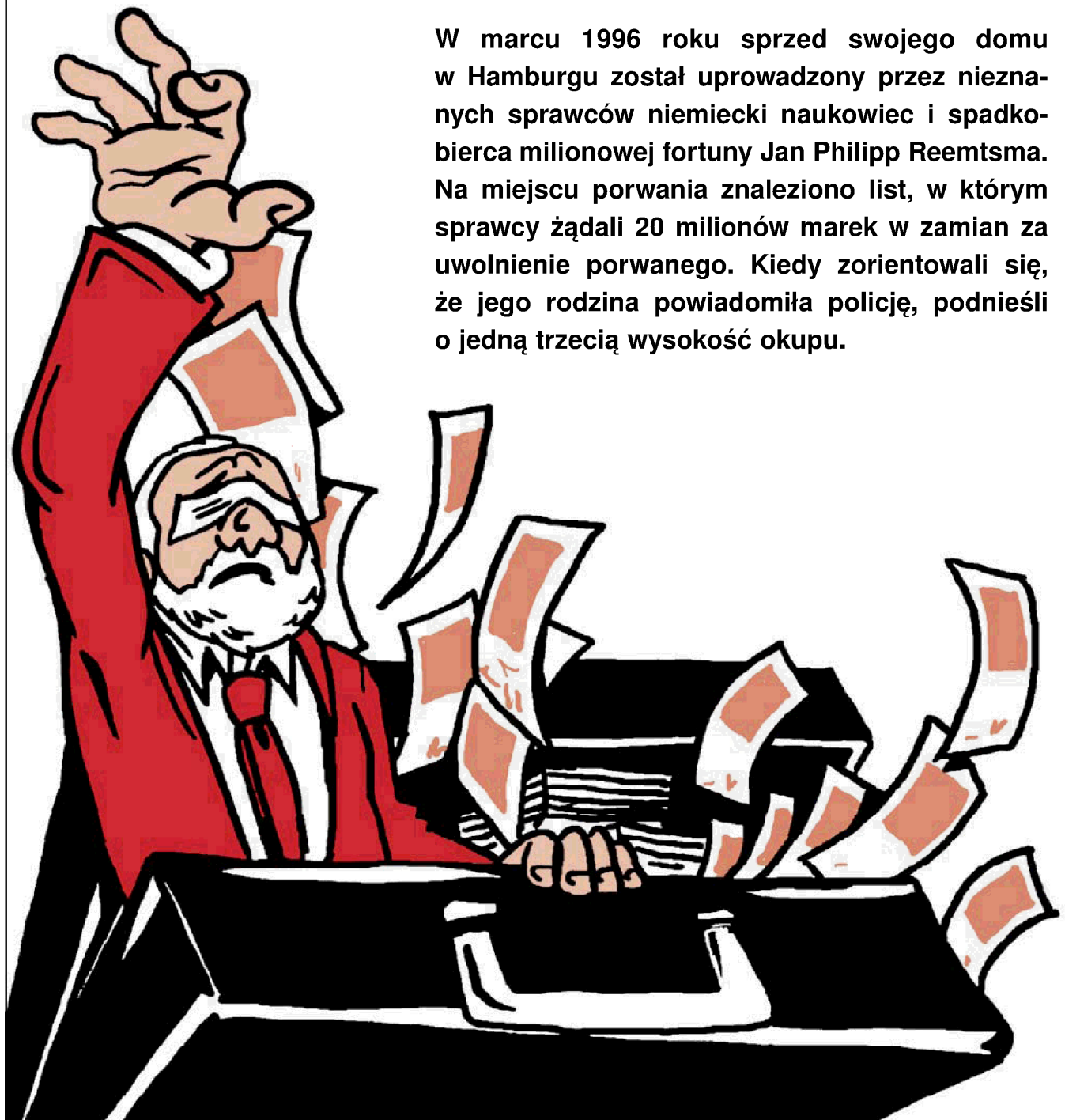
Personalia zostały zmienione.

UPROWADZENIE

Andrzej POLL

MULTIMILIONERA

W marcu 1996 roku sprzed swojego domu w Hamburgu został uprowadzony przez nieznaną sprawców niemiecki naukowiec i spadkobierca milionowej fortuny Jan Philipp Reemtsma. Na miejscu porwania znaleziono list, w którym sprawcy żądali 20 milionów marek w zamian za uwolnienie porwanego. Kiedy zorientowali się, że jego rodzina powiadomiła policję, podnieśli o jedną trzecią wysokość okupu.



Urodzony w 1952 roku w Bonn Jan Philipp Reemtsma pochodzi z jednej z najzamożniejszych niemieckich rodzin. Według czasopisma *Manager Magazin* jego majątek szacuje się na 700 milionów euro. Jego ojciec był przedsiębiorcą i potentatem w branży tytoniowej. Syn nie odziedziczył jednak po ojcu żyłki biznesmena. Zgodnie z testamentem Reemtsmy seniora, Jan Philipp w wieku 26 lat otrzymał w spadku znaczne udziały w przedsiębiorstwie ojca *Reemtsma Cigarettenfabriken GmbH*, które razem z matką sprzedali za sumę 300 milionów marek. Dobrze ulokowany kapitał zaczął przynosić wielkie zyski. Reemtsma nie musiał już troszczyć się o sprawy finansowe i zajął się tym, co było jego powołaniem: nauką. Ukończył germanistykę i filozofię na uniwersytecie w Hamburgu, gdzie rozpoczął swoją działalność naukową. Jest założycielem i przewodniczącym Hamburgskiego Instytutu Badań Społecznych, ma profesurę literatury Uniwersytetu Hamburgskiego oraz na dwu innych niemieckich uczelniach. Działa społecznie, dużo publikuje oraz wspiera finansowo różne projekty naukowe i społeczne. Za swoje zasługi otrzymał wiele prestiżowych nagród.

Dwa domy

Państwo Reemtsma byli właścicielami luksusowej posiadłości w ekskluzywnej dzielnicy Hamburga Blankenese, przy ulicy Krumdaal. Składała się z dwóch domów, oddalonych od siebie o około 50 metrów, i otoczonych pięknym ogrodem. W jednym z tych domów, „rodzinnym”, mieszkał Jan Philipp z żoną Ann Kathrin Scheerer, z zawodu psycholog i 13-letnim synem Johannem. Mieli tam również mały zwierzyniec: trzy koty i dwa psy. W drugim, zwanym „domem pracy”, Reemtsma miał swoją bibliotekę i gabinet, gdzie czytał i pracował naukowo. Czasami rodzina spędzała w nim weekendy. W poniedziałkowy wieczór 25 marca 1996 roku, tuż po godzinie 20-ej, profesor postanowił pójść do swojej biblioteki, aby przynieść książkę, która potrzebna mu była do referatu, nad którym właśnie pracował. Przed wyjściem rzucił w stronę żony uwagę, że wychodzi tylko na krótko. Jak się potem okazało, żona tego nie usłyszała.

Napad

Reemtsma szedł nieśpiesznym krokiem przez ogród w stronę domu z biblioteką. Do drzwi budynku prowadziła wąska alejka, obramowana po obu stronach około metrowej wysokości murkami. Z lewej strony, za murem, wznosiła się około dwumetrowa pochyłość, z prawej rosły duże rododendrony. Przed domem stały dwie rzeźby w antycznym stylu. Kiedy znalazł się kilka

metrów przed wejściem, usłyszał za sobą szmer w zaroślach rododendronów. Pomyślał, że buszuje tam kot lub jakieś inne zwierzę. W następnej chwili pojawiła się przed nim wysoka i barczysta postać z czarną maską na twarzy i z otworami na oczy. Reemtsma uświadomił sobie, że człowiek w masce zamierza go zaatakować. Zdawał sobie jednak sprawę, że jako mało sprawny fizycznie intelektualista w okularach, nie ma szans w bezpośrednim starciu z obcym.

W myśl zasady, że najlepszą obroną jest atak, rzucił się na niego, starając się wystawionymi kciukami zranić go w oczy, unieszkodliwić na okamgnienie i uciec. Zamiar udał się tylko częściowo; człowiek w masce, uderzony w jedno oko, wrzasnął z bólu, ale w tym momencie Reemtsma otrzymał cios w głowę, który powalił go na kolana i strącił z nosa okulary. Zadał mu go drugi, niewidoczny dla niego napastnik, który następnie chwycił go za głowę i zaczął uderzać nią o murek. Napadnięty poczuł, że ma miazdżony nos, a twarz zalewa mu krew. Człowiek ten powiedział do niego łamaną niemiecką z wschodnioeuropejskim akcentem: „Ty się nie bronisz, to nic się nie stanie”. Napadnięty powiedział: „Dobrze, dobrze, ale czego chcecie?” Nie otrzymał odpowiedzi, a po chwili ktoś skuł mu kajdankami ręce na plecach, zakleił taśmą usta i oczy i zaczął prowadzić w nieznanym kierunku.

Na szczęście taśma, którą miał na oczach, nie była całkowicie szczelna; u dołu utworzyła się maleńka szparka, przez którą mógł widzieć swoje stopy i wąski wycinek gruntu pod nimi. Zauważył też, że napastnik, który szedł przodem, miał przy sobie karabin Kałasznikowa. Prowadzono go niezbyt spieszenie przez ogród, a potem przez pobliski park. Szedł umyślnie niepewnie, aby nie zorientowali się, że coś widzi. Kiedy się potykał, nikt go nie beształ ani nie ponaglał. Zastanowiła go zuchwałość napastników; porwali człowieka o niezbyt późnej porze, uzbrojeni prowadzili go skrępowanego i z zaklejoną twarzą przez publiczny park, gdzie mogli jeszcze chodzić ludzie. Pomyślał, że świadczy to o ich pewności siebie i determinacji.

Kiedy doszli do ulicy, usłyszał, jak nieopodal zatrzymuje się samochód, po czym ktoś otworzył klapę bagażnika i nakazał mu wejść do środka. Zanim to nastąpiło, dostrzegł przez szparkę w opasce, że auto było typu kombi lub furgonetką szarego koloru, z żółtą tablicą rejestracyjną i czarnymi znakami. Pierwsze dwie litery były FV lub VF, jak zapamiętał. Zanim auto ruszyło, pod głowę podsunięto mu coś w rodzaju koca, zwiniętego w rulon.

W czasie jazdy w nieznanym Reemtsma zdał sobie sprawę, że padł ofiarą porwania. Nie był jednak pewien, jaki był jego motyw; zwykła żądza pieniędzy, czy też zemsta natury politycznej. Przypomniał sobie bowiem wystawę, którą zorganizował

niedawno w „swoim” Instytucie na temat zbrodni Wehrmachtu w czasie wojny. Wystawa wywołała kontrowersje i oburzenie w pewnych kręgach społeczeństwa niemieckiego, a jego nazwano człowiekiem, który kła własne gniazdo.

Człowiek, który był wart 20 milionów

Ann Kathrin Scheerer dopiero po upływie około pół godziny zauważyła nieobecność męża. Pomyślała, że udał się do „domu pracy”. Z początku była nieco zła, iż jej o tym nie uprzedził, co nigdy mu się do tej pory nie zdarzyło. Zajęta ułożeniem do snu syna, a potem własną lekturą, dopiero koło północy stwierdziła, że męża nadal nie ma w domu. Ogarnął ją niepokój i postanowiła sprawdzić, dlaczego nie wraca. Wyrzawszy przez okno zauważyła, że przed „domem pracy” jedna z rzeźb leży przewrócona na ziemi, a okna gabinetu są ciemne. Naszło ją przeczucie, że mężowi przydarzyło się coś złego. Narzuciła na siebie kurtkę i poszła sprawdzić. W świetle latarni zauważyła przy murku ślady krwi, a nieopodal arkusz papieru formatu A-4. Był to list, obciążony ciężkim metalowym przedmiotem, który przypominał ręczny granat. Jak się później okazało, był to w pełni sprawny granat jugosłowiańskiej produkcji.

List napisany był drukowanymi literami na maszynie i zapakowany w przezroczystą folię. Ann Kathrin doznała szoku, kiedy przeczytała pierwsze zdanie: UPROWADZILIŚMY PANA REEMTSMA. W dalszej części porywacze przedstawili swoje warunki: żądają sumy 20 milionów DM, z czego 10 milionów ma być we frankach szwajcarskich, a 8 milionów w markach, w 1000-markowych banknotach, bez żadnych znaków chemicznych ani znaków widocznych w podczerwieni. Powiadomienie policji i prasy oznaczać będzie wyrok śmierci dla zakładnika.



Po przekazaniu okupu, porwany zostanie w ciągu 48 godzin bez uszkodzeń ciała wypuszczony na wolność. Adresaci listu mają przygotować pieniądze i czekać na dalsze instrukcje porywaczy.

Wróciwszy do domu żona Reemtsmy najpierw zadzwoniła do mieszkającego we Frankfurcie zaprzyjaźnionego psychoanalityka Christiana Schneidera i poinformowała go o tym, co zaszło. Człowiek ten poradził, aby jednak zawiadomić policję i obiecał się tym zająć. Ann Kathrin powiadomiła również zaprzyjaźnionego adwokata Joachima Kerstena i jego współpracownika Gerharda Schwenna, kolegę Reemtsmy z czasów szkolnych. Obaj zjawiają się wkrótce w willi Reemtsmy. Adwokat zobowiązuje się zorganizować pieniądze, drugi z panów wyraża gotowość działania jako pośrednik. Przybywa policja, która zabezpiecza ślady przestępstwa.

Następnego dnia o wpół do siódmej żona Reemtsmy opowiada synowi o tym, co się stało z ojcem. Chłopiec, będąc mocno przywiązany do niego, bardzo przeżył to porwanie. Jak później wyznał, nie spodziewał się już ujrzeć ojca żywym. Dla całej trójki: uprowadzonego i jego rodziny rozpoczyna się koszmar, pełen obaw i nadziei okres.

Rankiem 26 marca o godzinie 8.00 przybywa z Frankfurtu wspomniany już przyjaciel rodziny. Niedługo potem zjawia się para psychologów policyjnych w charakterze „opiekunów rodziny”. Około południa pieniądze przeznaczone na okup są już przygotowane. Policja proponuje oznakowanie banknotów najnowszą metodą, „nieznaną laikom”. Po krótkim wahaniu Ann Kathrin wyraża zgodę. W samochodzie Reemtsmy marki Volvo, który porywacze wyznaczają do dostarczenia okupu, policja instaluje urządzenie nawigacyjne (GPS), aby łatwiej namierzyć późniejszą drogę ucieczki przestępców.

Uwięziony w piwnicy

Skrępowany i zamknięty w bagażniku Reemtsma nie był w stanie określić, ile czasu trwała jazda do miejsca jego uwięzienia. W książce, którą opublikował po swoim uwolnieniu pod tytułem „W piwnicy” (*Im Keller*), i w której opisał swoje dramatyczne przeżycia wspomina, że trwała ona od 30 minut do godziny. Najpierw jechali długi odcinek autostradą, potem szosą, a na końcu jakby wiejską drogą. Po przybyciu na miejsce zgaszono światła samochodu i nakazano mu wysiąść. Ktoś wprowadził go do domu, przed który zajechali. Przez szparkę w opasce dostrzegł światło. Korytarz. Po chwili droga w dół po krętych drewnianych schodach. Stał się nie stawić zbyt pewnie stóp, aby przestępcy nie zorientowali się, że coś widzi. Drzwi. Jakieś pomieszczenie. Światło. Przez szparkę u dołu opaski dostrzegł u swoich stóp materac



i przytwierdzony do ściany łańcuch. Zdjęto mu kajdanki i zaczęto rozbierać: kurtka, pulower, koszula i buty. Slipy i skarpetki pozostawiono. Potem ubrano go w coś, co okazało się szarym dressem i sportowymi butami. Zabrano mu okulary wraz z etui i zegarek. Kazano usiąść na krześle, po czym nad kostką prawej nogi założono mu łańcuch, przymocowany do ściany, i zapięto go na kłódkę. Ktoś zdjął mu plaster z ust i nieco poluzował opaskę na oczach. Powiedziano mu, że może całkowicie ją zdjąć, kiedy zostanie sam. Usłyszał odgłos zamykanych drzwi.

Kiedy uwolnił oczy od opaski zorientował się, że znajduje się w niewysokim pomieszczeniu o powierzchni około 3 na 4 metry, o wybielonych ścianach. Prawdopodobnie piwnica z dwoma oknami, zakrytymi płytami, przy drzwiach kaloryfer, też obudowany płytami. W drzwiach u dołu zauważył szparę około 30-centymetrowej szerokości, którą wdmuchiwane było ciepłe powietrze. Sprzęty: materac z pościelą, stolik i krzesło z plastiku, plastikowa wanienka z wodą, kosz na śmieci i kempingowa przenośna toaleta. Z sufitu zwisała na przewodzie goła żarówka. Zgaszona. Na stole dwie lampy kempingowe, z których jedna się świeciła. Obok plastikowe butelki z wodą mineralną, również plastikowe sztucce, kartonowe talerze, gąbka, pasta do zębów, papier toaletowy, długopis i zadrukowana kartka papieru. Spojrzał na swoje dłonie: jedna z nich była pokryta krwią. Pomyślał, że to od rany na przegubie, w którą wżynała mu się boleśnie obręcz kajdanków. Nie. Krew pochodziła z twarzy i rozbitego nosa, którą ścierał ręką.

Wziął do ręki pismo i zaczął je odczytywać. Przyszło mu to z trudem, ponieważ nie miał okularów. List informował, że został uprowadzony i zostanie uwolniony za okupem w wysokości

20 milionów marek. („A więc jednak pieniądze”, pomyślał.) Im lepiej będzie współpracował, tym szybciej wyjdzie na wolność. Próbowanie ucieczki nie ma sensu. Aby uniemożliwić mu samobójstwo, wyłączono prąd. Rano i wieczorem będzie otrzymywał jedzenie. (Będą to kanapki i gotowe dania z puszek.) Na kartce ma napisać nazwiska i telefony ludzi, którzy mogą być dla porywaczy użyteczni. Swoje życzenia może wyrażać pisemnie. Po usłyszeniu pukania w drzwi, ma się położyć na materacu, twarzą w dół. Postanowił stosować się do nakazów porywaczy. Umył się i położył na materacu, aby zasnąć. Niedawne przeżycia i myśli o najbliższych nie pozwoliły mu jednak na to. Był w skrajnej rozpacz, bliski łez, ale starał się powstrzymać od płaczu. Dopiero po dłuższym czasie zapadł w sen, który był pełen koszmarów.

★ ★ ★

Nazajutrz usłyszał pukanie do drzwi. Położył się posłusznie na materacu twarzą w dół. Pierwsze zdanie, jakie usłyszał w swojej celi, zabrzmiało po angielsku: „*Do you speak English?*” „*Yes, of course*”, odpowiedział. Człowiek, który do niego przemówił, był autentycznym Anglikiem (Reemtsma w swoich wspomnieniach nazywa go właśnie „Anglikiem”). Będzie to jego jedyny „kontaktowy człowiek” przez cały okres uwięzienia. Więzień spytał, czy może otrzymać z powrotem swój zegarek. „Za dwa dni”, odpowiedział jego rozmówca. „Musi pan stracić poczucie czasu”, dodał. Zwrócono mu jednak okulary, aby ułatwić czytanie i pisanie.

Zgodnie z instrukcją napisał list, którego adresatami byli żona, kierownik jego hamburskiego biura, Fritzenwalder, oraz jego adwokat Kersten. W pierwszym zdaniu informował, że został uprowadzony, i że „zważywszy na okoliczności”, czuje się dobrze. Zostanie uwolniony po wpłaceniu 20 milionów DM. Następnie prosił o zorganizowanie tej sumy i przekazanie jej zgodnie z instrukcjami. Podał również numery telefonów i faksów wspomnianych osób. W postscriptum zapewnił żonę i syna o swojej miłości.

Czas mijał, ale nikt nie odbierał jego pisma. Powoli tracił poczucie czasu. („Bez zegarka nie ma właściwie czasu, jest wieczność, w którą człowiek został wrzucony, a wieczność to bezruch”, napisze później.) Naszły go czarne myśli. Wyobraził sobie, że przestępcy zrezygnowali ze swojego planu i zostawili go tutaj na pastwę losu. Nikt oprócz nich nie wie, że jest tu uwięziony. Szanse na ucieczkę są równe zeru. (Czy można wydlubać plastkowym nożem śruby ze ściany, którymi przymocowany jest łańcuch?) Na jak długo wytrzymają baterie lampy? Grozi mu śmierć w ciemności z pragnienia i głodu. Jak Indianinowi Joe z powieści Marka Twaina,

przemknęło mu przez myśl. Na wypadek, gdyby tak się stało, napisał pożegnalny list.

Jego obawy okazały się na szczęście płonne. Porywacze nie skorzystali z jego listu z powodu „złego papieru” (*wrong paper*). Pismo miało być wysłane anonimowym faksem, ale prawdopodobnie na papierze pozostały odciski palców któregoś z przestępców. Porwany musiał napisać następny list. Napisze ich jeszcze kilka, które porywacze będą wysyłać pocztą.

Trzeciego dnia więzień otrzymał swój zegarek, okulary oraz pakiet książek, wśród których były m.in. „Kronika XX wieku”, opowiadania Dostojewskiego, powieść Johna Le Carrésa i „Wielcy filozofowie” Jaspersa. Był porywaczom za to wdzięczny. Wiedział już, że nie grozi mu obłąd. Aby zachować jaką-taką sprawność fizyczną, „kroczył” po swojej celi, na ile pozwalał mu około 2-metrowy łańcuch: trzy kroki w przód i dwa i pół kroku w tył. (Wyliczył, że dobowo robił od 15 do 18 tysięcy kroków.) Oprócz tego robił „ścienne pompki” czyli odpychanie się ramionami od ściany pod pewnym kątem.

Pojedynek mózgow

Policja stanęła przed bardzo trudnym zadaniem. Miała wytropić gangsterów, wydostać z ich rąk zakładnika żywym, a jednocześnie uchronić jego rodzinę przed utratą olbrzymiej sumy pieniędzy. W dodatku jej działania musiały być zachowane w absolutnej dyskrecji. Została powołana specjalna grupa operacyjna, złożona z 200 funkcjonariuszy, na której czele stanął komisarz Michael Daleki, którego zasługą było schwytanie kilka lat wcześniej berlińskiego szantażysty domów towarowych, Arno Funke’ego alias „Dagoberta”.

W środę 27 marca nadchodzi pocztą list od kidnaperów. Dołączone jest do niego zdjęcie zrobione Polaroidem, które przedstawia Jana Philipa Reemtsmę w sportowym dresie, siedzącego na kempingowym krześle i trzymającego w rękach egzemplarz „Bild-Zeitung” (najpopularniejsza niemiecka gazeta bulwarowa), z widoczną aktualną datą. Obok niego widnieje zarys sylwetki człowieka, który mierzy do niego z karabinu. Na twarzy zakładnika widoczne są przeżycia ostatnich dni. W liście szantażyści proponują porozumiewanie się z żoną Reemtsmy za pośrednictwem gazety „Hamburger Morgenpost”. Na pół zaszyfrowane wiadomości obu stron będą zamieszczane w rubryce „Pozdrowienia”, pod hasłem „Ann Kathrin”. Żonie uprowadzonego przy ich redagowaniu będzie pomagać policyjna psycholożka. Ton tych wiadomości, pełen troski i lęku o męża, ma przekonać gangsterów, że żona jest w stanie zrobić wszystko, aby wydobyć go z opałów. Reemtsma pisze nadal (ocenzurowane) listy jako znak, że jest przy życiu i ma



się dobrze. Porywacze ponadto przesyłają swoje pisma, w których precyzują żądania.

Na pośrednika wyznaczają ogrodnika Reemtsmów, ale ponieważ ten już u nich nie pracuje, do tej roli rodzina proponuje adwokata Schwenna, na co szantażyści wyrażają zgodę. Kontakty między obu stronami odbywają się również za pomocą telefonu komórkowego, przeznaczonego tylko do tego celu. Porywacze w rozmowach używają przyrząd do zniekształcania głosu, przez co ich słowa są czasami trudne do zrozumienia. Śledczy, stosując odpowiednie urządzenie elektroniczne, próbują „odkształcić” na powrót ich głosy. Na tej podstawie udaje im się jedynie ustalić, że przestępców jest trzech i że jeden z nich mówi z nadreńskim akcentem.

Przekazanie okupu

W środę 3 kwietnia o godzinie 2.54 w domu Reemtsmów dzwoni telefon. Kidnaperzy wydają polecenie, aby Ann Kathrin Scheerer udała się jak najszybciej samochodem do skrzyżowania ulic Grünwaldstraße/Osdorfer Weg, w dzielnicy Hamburga Bahrenfeld. Tam, za

tablicą rozdzielczą, znajduje się list z dalszymi instrukcjami. Dochodzi jednak do znacznego opóźnienia, ponieważ na wcześniejsze polecenie policji, Volvo stało zaparkowane daleko od domu rodziny, w miejscu, gdzie znajdowało się stanowisko strzeleckie specjalnego oddziału policji.

Kiedy Ann Kathrin w towarzystwie Schwenna dojeżdża na wyznaczone miejsce, rzekome skrzyżowanie okazuje się ujściem drogi dla pieszych do głównej ulicy. Znajdują list, który nakazuje im jechać autostradą A 7 przez Tunel Łaby w kierunku Hanoweru. Za tunelem, na poboczu, będzie stało pulsujące światło, przy którym mają położyć torbę z 20 milionami. Jeśli światła nie będzie, mają jechać dalej aż do tablicy informacyjnej z napisem „Maschener Kreuz 3000 Meter”, gdzie znajdą następne instrukcje. Okazało się jednak, że światła nie było i dalszych instrukcji również. Kurierzy spóźnili się o kilka minut i porywacze wycofali się z akcji. Pierwsza próba przekazania okupu spaliła na panewce.

W domu przy ulicy Krumdal wzrasta atmosfera strachu. Jaki ruch wykonają teraz porywacze? Również policja traci powoli cierpliwość. Dochodzenie niewiele posunęło się naprzód. Jedno jest tylko pewne: po drugiej stronie kryją się zawodowcy. W tej atmosferze, w szeregach policji pada propozycja, aby zwołać konferencję prasową. Opublikowanie danych, jakimi policja dysponuje o porywaczach, może napędzić im strachu i skłonić do wycofania się. (Tak się stało w przypadku porwania wnuka potentata prasowego Axela Springera w 1985 roku). Nie było jednak żadnej pewności, że przestępcy tak właśnie postąpią. Jak wynikało z ich pogroźek, powiadomienie policji i prasy było równoznaczne z wyrokiem śmierci dla zakładnika.

Ryzyko było jednak zbyt duże i zamiar zwołania konferencji porzucono. Na wzmiankę zasługuje tu decyzja o niepublikowaniu żadnych wiadomości o uprowadzeniu Reemtsmy. Mimo że kilka redakcji gazet znało szczegóły sprawy, wstrzymało się od jakichkolwiek publikacji na ten temat. Nigdy dotąd w historii niemieckiego dziennikarstwa coś takiego nie miało miejsca. Ryzyko było zbyt duże i nikt nie chciał być obciążony winą za ewentualną śmierć szanowanej i znanej publicznie osoby.

Druga próba

Po sześciu dniach milczenia, w środę 10 kwietnia, dwa dni po Wielkanocy, przychodzi list porywaczy wraz z drugim, napisanym własnoręcznie przez Reemtsmę. W liście porywaczy jest mowa o kolejnej próbie przekazania okupu i polecenie, aby rodzina zorganizowała jednomotorowy samolot typu Cessna o zasięgu lotu od 800 do 1000 km, przystosowany do zrzutu pieniędzy. Polecenie zostało wykonane i samo-

lot czekał na hamburskim lotnisku Fuhlsbüttel, gotowy do startu. (Nie jest łatwą rzeczą wyrzucić z samolotu worek z 20 milionami, ważący około 30 kilogramów, ponieważ drzwi samolotu blokowane są w czasie lotu, a okna dają się tylko lekko uchylić.)

W swym piśmie przestępcy ostrzegają, że jeśli ta próba nie powiedzie się, podniosą wysokość okupu o 10 milionów. Grożą jednocześnie, że jeśli „przejęcie pieniędzy wyda nam się zbyt ryzykowne, zabijemy pana Reemtsmę”.

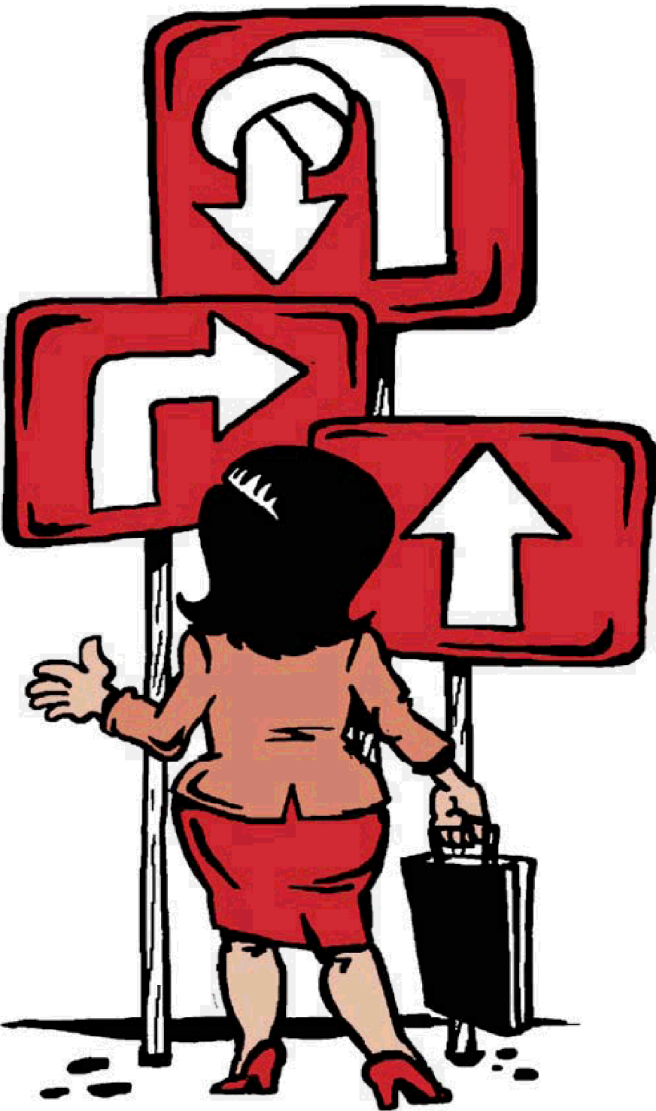
Przez najbliższe 24 godziny porywacze nie dają jednak znaku życia. Prawdopodobnie zorientowali się, że w sprawę jest zaangażowana policja i porzucili swój plan z użyciem samolotu. Schwenn jako pośrednik wydaje im się podejrzany. Rzeczywiście są do tego podstawy; wspiera go policyjny psycholog, którego śledczy zamierzają podstawić na jego miejsce. Człowiek ten ma niełatwe zadanie: musi wykuć na pamięć wiele faktów i szczegółów z życia Reemtsmy oraz jego otoczenia, aby móc odpowiedzieć na podchwytliwe pytania przestępców. Ostatecznie plan z podstawieniem dublera zostaje odrzucony.

We czwartek kidnaperzy meldują się ponownie. Polecają Schwennowi zjawić się w hamburskim hotelu „Antlantic”. Aby potwierdzić swoją tożsamość, musi telefonicznie odpowiedzieć na szczegółowe pytania, które jego porwany kolega przesał w liście. Na przykład, jaki przydomek nosił



nauczyciel Keller? (odpowiedź: Addi). Egzamin zdany. Następnie Schwenn otrzymuje polecenie przyścia do hotelu „Ibis”. Tam jeden z porywaczy prowadzi z nim kilkuminutową rozmowę. Chce wiedzieć, dlaczego on i żona Reemtsmy nie przybyli z okupem na umówione miejsce w określonym czasie. Schwenn tłumaczy, że dotarli na miejsce, ale z małym, nieprzewidywanym opóźnieniem, spowodowanym obiektywnymi przeszkodami. Odpowiedź zostaje przyjęta z niedowierzaniem.

W sobotę 13 kwietnia adwokat Schwenn otrzymuje telefoniczną instrukcję, że za godzinę ma pojechać do Luksemburga w celu przekazania okupu. To za mało czasu, odpowiada. Po krótkich negocjacjach porywacze przedłużają czas do dwu godzin. Pojawia się jednak trudność; samochód Schwenna, którym ma jechać, został zajęty przez policję. Podstawiona policjantka, która ma odwieźć przemęczonego adwokata do granicy z Luksemburgiem, musi jeszcze zabrać z domu swój dowód osobisty. Kolejna zwłoka.



W końcu kurier przybywa do wyznaczonego hotelu, gdzie otrzymuje kolejne instrukcje. Zgodnie z nimi przyjeżdża w niedzielę o 3.20 nad ranem do miejsca wypoczynku podróżnych „Markusberg”, przy autostradzie niedaleko Trewiru. Tam ma przerzucić w oznaczonym miejscu biały worek z pieniędzmi i odjechać. Schwenn działa według poleceń porywaczy. Krótco potem przybywają na miejsce funkcjonariusze udający podróżnych i obserwują miejsce zdeponowania okupu. Czas mija, ale nikt się po niego nie zjawia. Po 3 godzinach worek z pieniędzmi jest nadal na miejscu. Czy przestępcy zorientowali się, że policja decyduje im po piętach? Jakakolwiek jest tego przyczyna, druga próba przekazania okupu kończy się również niepowodzeniem. Skrajnie wyczerpany adwokat Schwenn rezygnuje z roli pośrednika.

Dziesięć milionów więcej

Porywacze za niepowodzenie w przekazaniu okupu w Luksemburgu winią stronę przeciwną i zgodnie z zapowiedzią podwyższają wysokość okupu do 30 milionów. „Anglik” wyjaśnia tę decyzję zakładnikowi: *We have to punish them* (Musimy ich ukarać.) Jest to najwyższa suma, jaką w historii porwań w Niemczech do tej pory żądano. Rodzina godzi się na tę kolosalną sumę bez dyskusji. Kiedy Reemtsma wspomina w rozmowie z „Anglikiem” groźbę zabicia go, ten mówi: *It's business* i uspokaja go: *Jeśli zapłacą, nie zabijemy pana, obiecuję.*

W tej sytuacji gangsterzy decyzję co do wyboru dalszych pośredników pozostawiają samemu zakładnikowi. Reemtsma proponuje socjologa z Kilonii Larsa Clausena oraz hamburskiego pastora Christiana Arndta, którzy wcześniej dali się poznać jako roztropni rozjemcy w innej problematycznej sprawie. Do nich ma dołączyć pracownik socjalny Michael Hermann, wspólny przyjaciel Reemtsmy i Arndta.

Porywacze akceptują ten wybór i w poniedziałek zgłaszają się telefonicznie do Clausena i Arndta, prosząc o współpracę. Dwa dni później obaj panowie otrzymują od nich pocztę, wraz z trzema listami Reemtsmy: jeden do Clausena, drugi do Arndta i trzeci do żony. W dwóch pierwszych porwany prosi o pomoc obu panów i poleca, aby okup przekazać bez wiedzy policji. Żonę informuje, że suma okupu wzrosła do 30 milionów i prosi ją o załatwienie dodatkowych 10. W listach daje wyraźnie do zrozumienia, że to dla niego ostatnia szansa, aby wyjść z opresji z życiem. Ann Kathrin włącza do akcji pewną amerykańską agencję ochroniarską, której pracownicy są wyspecjalizowani w sprawach uprowadzeń.

Wszyscy wtajemniczeni w akcję kolejnego przekazania okupu są zgodni co do tego, że należy to zrobić bez mieszania się policji. Aby się

dodatkowo zabezpieczyć, Ann Kathrin kontaktuje się w tej sprawie z burmistrzem Hamburga, który obiecuje to załatwić. Do przewozu pieniędzy Hermann organizuje ciemnoczerwonego opla Astrę z rejestracją miasta Wiesbaden. Na żądanie porywaczy rodzina organizuje nową partię pieniędzy, ponieważ podejrzewają, że poprzednie zostały oznakowane. (Faktycznie policja zarejestrowała banknoty i oznakowała je za pomocą specjalnego zabiegu biotechnicznego.) Tym razem połowa pieniędzy ma być w 1000-markowych banknotach, a reszta we frankach szwajcarskich. W piątek 19 kwietnia wszystko jest przygotowane. Następuje pełne napięcia oczekiwanie na instrukcje kidnaperów.

W sobotę dzwoni telefon komórkowy Christiana Arndta. Pastor, aby upewnić się, że zakładnik jest przy życiu, zadaje pytanie o nazwisko znanego Reemtsma pisarza, podając tylko jego imiona. Otrzymuje prawidłową odpowiedź. Z kolei porywacze zadają Arndtowi pytanie identyfikacyjne, na które też odpowiada prawidłowo. On i Clausen mają czekać na kolejne instrukcje. Otrzymują je dopiero w środę około północy. Przez telefon komórkowy przestępcy nakazują obu kurierom jechać do Krefeld (miasto w Dolnej Nadrenii, oddalone o ponad 300 km od Hamburga). W oznaczonym miejscu, niedaleko dzielnicy Krefeld Fischeln, mają zjechać z autostrady i tam, w szczerym polu, zaparkować samochód, po czym oddalić się od niego na kilkaset metrów. Postępują zgodnie z instrukcją.

Nad ranem, kiedy zaczyna już świtać, kurierzy otrzymują telefon od porywaczy z wiadomością, że wszystko poszło zgodnie z planem. Okup został przejęty i wszystko się zgadza. Obaj panowie wracają do auta, ale okazuje się, że przestępcy zepchnęli je ze skarpy, aby prawdopodobnie udaremnić pościg. Clausen i Arndt sprowadzają pomoc drogową, wyciągają samochód na drogę i wracają do Hamburga.

Po upływie 43 godzin, zgodnie z obietnicą, 26 kwietnia 1996 roku, Jan Philip Reemtsma zostaje wypuszczony na wolność. Porywacze wysadzają go w nocy na skraju lasu niedaleko Bremy, w pobliżu jakiejś wioski. Rozkuwają mu ręce i nakazują iść przed siebie. Opaskę z oczu wolno mu zdjąć dopiero po ich zniknięciu. Nie może uwierzyć w to, że jest wolny. Że trwający 33 dni i nocy koszmar zakończył się. Dociera do najbliższego domostwa, gdzie pali się światło. Przez okno widzi, że jakiś mężczyzna ogląda w telewizji mecz tenisowy. Puka do drzwi i cofa się o trzy kroki, aby właściciel nie pomyślał, że ma złe zamiary. Otwierają się drzwi. Reemtsma pyta o możliwość skorzystania z telefonu. „Jeśli nie jest to rozmowa z Australią”, mówi męż-



czynna. Przybysz zaprzecza. Nie, chce tylko zadzwonić do żony do Hamburga. Po czym przeprosza za swój wygląd („Jak właściwie wyglądam? Od trzech i pół tygodnia nie widziałem się w lustrze”) i wyjaśnia, skąd się o tej porze wziął. Właściciel domu, słysząc słowo „porywacze”, pyta czy ma sięgnąć po broń. „Nie, proszę się nie martwić. To już się skończyło”, odpowiada gość. Bierze do ręki słuchawkę i wykręca swój domowy numer. Odbiera żona. „To ja”, mówi. „Jestem wolny”. Następnie zamawia taksówkę i po trzech kwadransach jazdy staje przed drzwiami swojego domu.

Długie ramię sprawiedliwości

Kilkanaście dni po uwolnieniu Reemtsmy, policja natrafiła w miasteczku Osterholz-Scharmbeck, oddalonego o 88 km od Hamburga, na dom, w którym był prawdopodobnie więziony. Śledztwo wykazało, że wynajmował je człowiek nazwiskiem Thomas Drach, który okazał się głównym sprawcą uprowadzenia hamburskiego multimilionera. Wizja lokalna z udziałem byłego zakładnika potwierdziła podejrzenie, że w piwnicy tego domu był przetrzymywany.

Urodzony w 1961 roku w Północnej Nadrenii-Westfalii („nadreński akcent”) Thomas Drach już jako nastolatek wszedł w konflikt z prawem. Jako 20-latek razem ze swoim o rok młodszym bratem Lutzem dokonał napadu z bronią w rękę na oddział Sparkassy w Kolonii. Obaj zostali szybko ujęci i postawieni przed sąd. Thomas otrzymał wyrok siedem i pół roku więzienia, jego brat 10 lat. Po wyjściu na wolność starszy z braci zaczął prowadzić nielegalne interesy w Europie Wschodniej. Kursował regularnie między Kolonią

ciąg dalszy na str. 34.

Z kraju i ze świata

„Wielbiciel” Picassa

Sąd we Francji skazał 75-letniego mężczyznę i jego żonę na dwa lata więzienia. Powodem ukarania miało być przetrzymywanie w piwnicy prac Picassa. Starszy pan twierdził, że malarz i jego żona dali mu te dzieła w prezencie. Zbiór jest niebagatelny, bo liczy 271 prac artysty (litografie, portrety i szkice – powstałe w latach 1900-1932). Mężczyzna przez blisko 40 lat trzymał je w garażu. Sprawa ujrzała światło dzienne w 2010 roku, kiedy ich posiadacz zawiózł je do Paryża w celu potwierdzenia ich autentyczności. Wówczas do sprawy wkroczyli spadkobiercy Picassa, jednego z najbardziej znanych artystów na świecie i wytoczyli Francuzowi sprawę. Zdaniem sądu małżeństwo weszło w posiadanie dzieł w sposób nieuczciwy i nakazało oddanie ich rodzinie zmarłego malarza. 75-latek utrzymuje, że otrzymał prace od Picassa, tuż przed jego śmiercią w 1973 roku. Artysta rzekomo oferował swoje dzieła w podziękowaniu za pracę (Francuz – elektryk instalował alarm przeciw włamaniom w domu Picassów w Notre-Dame-de-Vie pod Cannes). Syn Picassa – Claude twierdzi, że owszem, jego ojciec słyszał ze

szczości, ale darowane dzieła zawsze podpisywał, a także umieszczał datę i dedykację, ponieważ miał świadomość, że w przyszłości obdarowani będą mogli sprzedać drogocenne prezenty. Tymczasem w zbiorze starszego pana nazwisko Picassa widnieje tylko w katalogu z wystawy. Prawnik rodziny Picassów zaznacza też, że hojny Pablo dbał, aby ofiarowane dzieła pasowały do obdarowanego, tymczasem, w kolekcji Francuza były różnorodne dzieła. ■

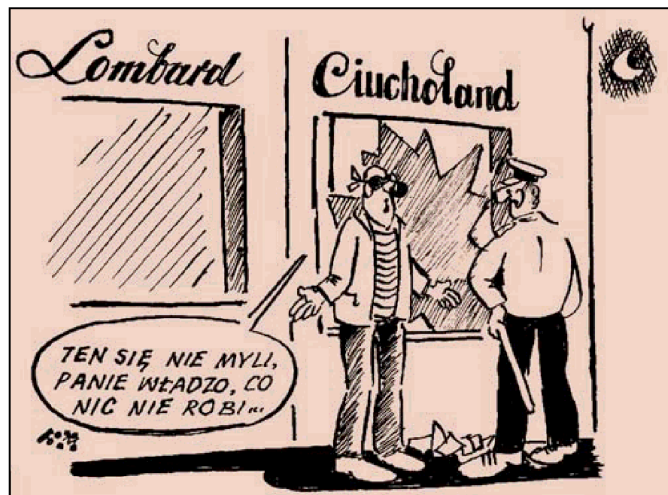
„Nauczka”

Policjanci z Zielonej Góry otrzymali informację, że dwóch młodych mężczyzn pobito na przystanku autobusowym kontrolera biletów. Okazało się, że napastnicy mieli aktualne bilety, ale jeden z nich przypomniał sobie, że kilkanaście dni wcześniej ten sam „kanar” wlepił mu mandat. Obaj czuli się na tyle silni, że postanowili wysiąść na tym samym przystanku co kontroler i „dać mu nauczkę”. Przewrócili zasko-

czonego mężczyznę na ziemię i pobili go, nie żałując kopniaków. Później, jak gdyby nigdy nic, udali się do baru na hamburgery. Tam właśnie zatrzymała ich policja. Napastnikami okazali się mieszkańcy województwa lubuskiego – 21-letni Kamil P. i jego rówieśnik Mateusz S. Obaj są studentami jednej z zielonogórskich uczelni i obaj byli pijani. Badanie wykazało, że mieli odpowiednio: 1,7 i 0,9 promila alkoholu we krwi. Chuligani dobrowolnie poddali się karze. Mateusz S. otrzymał 8 miesięcy więzienia w zawieszeniu na 3 lata, natomiast Kamil P. 6 miesięcy w zawieszeniu na 3 lata. Studenci zostali też objęci dozorem kuratora i muszą zapłacić nawiazkę na rzecz pokrzywdzonego (każdy po 300 zł). ■

Rozpustni mundurowi

W Indiach w stanie Jharkhand czterech policjantów miało przewieźć więźnia (skazanego za morderstwo) z więzienia w Kodema do Ranchii. Między jedną, a drugą placówką jest około 200 km odle-





głości. Skazany miał tam zostać zbadany w szpitalu i ponownie wrócić do więzienia. W drodze powrotnej mundurowi postanowili „zakosztować przyjemności” i zamiast kierować się na Kodemę pojechali do oddalonego o 230 km Asansol. Miejscowość ta, położona w Bengalu Zachodnim słynie z dzielnicy „czerwonych latarni”. Policjanci bardzo dobrze bawili się w tym miejscu, nie żalowali sobie alkoholu, który spożywali z damami do towarzystwa. Niestety, impreza została niespodziewanie przerwana przez ich kolegów po fachu. Pech chciał, że tego dnia policjanci zorganizowali nalot na „siedlisko rozkoszy” i nie dając dość do głosu „kumplom” zakuli ich w kajdanki i odtran-

sportowali do aresztu. Jakby tego było mało, towarzyszący im więzień uciekł, ale dobrowolnie wrócił do więzienia, gdzie opowiedział, że został zmuszony do imprezy w dzielnicy „czerwonych latarni”. Zznał też, że mający go pilnować stróże prawa, wyłądowali w areszcie. Niefrasobliwi strażnicy zostali zawieszeni w pełnieniu obowiązków. Jakie będą dalsze konsekwencje, rozstrzygnie śledztwo. ■

Kamieniami w karetkę

Zarzuty zniszczenia mienia oraz bezpośredniego narażenia utraty życia lub spowodowania ciężkiego uszczerbku na zdrowiu

(załogi karetki i pacjentki) otrzymało dwóch mężczyzn. Rzeczą miała miejsce w Katowicach na ulicy Wiosny Ludów. Pijani 18- i 19-latek zaczęli rzucać kamieniami w jadącą karetkę. W pojeździe była rodząca kobieta! Świadcami zdarzenia byli policjanci w cywilu, dlatego reakcja była natychmiastowa. Jeden z mężczyzn przyznał się do zarzucanych mu czynów i chce dobrowolnie poddać się karze. Drugi natomiast, zasłaniając się lukami w pamięci, nie przyznał się. Obaj sprawcy zostali objęci dozorem policyjnym. Za popełnione czyny grozi im do 5 lat pozbawienia wolności. ■

Zuchwała kradzież

Policja w Wielkiej Brytanii szuka złodziei, których łupem padł zabytkowy Ford Escort Mexico. Zaledwie 40 sekund wystarczyło włamywaczom, aby wywieźć z salonu auto warte 120 tysięcy funtów! Rabusie najpierw staranowali samochodem witrzynę sklepu, przyczepili do pojazdu linę holowniczą i odjechali. Policja zjawiała się praktycznie w chwili uruchomienia alarmu, ale było już za późno... Forda Escorta zaprezentowano w 1967 roku jako następcę modelu Anglia. W 1971 roku pojawiła się wersja Mexico (nazwa pochodzi od rajdu do Meksyku, który miał miejsce w 1970 roku). ■



ciąg dalszy ze str. 31.

a Budapesztem, gdzie zdobył fałszywy paszport na nazwisko Sandor Dulai. Czasami występował również pod nazwiskiem Piet Hellmann.

Pomysłodawcą uprowadzenia dziedzica milionowej fortuny był Thomas Drach. Przygotowania do tego przestępstwa, w którym oprócz niego wzięli udział trzej jego kompanii, trwały kilka tygodni. Zanim zrealizowali swój plan, obserwowali Reemtsmę, jego rodzinę, obydwa domy, rozkład jego zajęć, zwyczaje, a nawet bywali na jego wykładach.

Dwa dni po przejściu okupu, 27 kwietnia, Drach wynajął pokój w pewnym pensjonacie w Kolonii. Niecały miesiąc później, 25 maja, udał się samochodem do Paryża, skąd poleciał do Wenezueli. Stamtąd wykupił lot na Kubę, a wkrótce potem poleciał do Urugwaju. Kraj ten miał być przez prawie dwa lata jego Eldorado. W Urugwaju dokonał prania sporej części pieniędzy pochodzących z okupu i zaczął pławić się w luksusie. Za 30 tysięcy euro miesięcznie wynajął dużą willę, która była strzeżona przez ochroniarzy i psy. Oprócz korzystania z uciech życia, jako miłośnik dobrych samochodów, zajmował się ich zakupem i sprzedażą. Podawał się przy tym za Anglika o nazwisku Anthony Lawlor i legitymował fałszywym paszportem.

Stewardesa Elisabeth miała niepodważalne alibi, bowiem nie można być jednocześnie w tym samym czasie w dwóch oddalonych od siebie miejscach. Jej obecność na pokładzie samolotu w czasie zabójstwa Stevensa mogli potwierdzić liczni świadkowie. Zatem zabójczynią mogła być Judy, jednak zeznanie sąsiada dawato jej mocne alibi. Należało zatem udowodnić kłamstwo aktora albo jej sąsiadowi. Hamilton zwrócił uwagę na ten fragment zeznań starszego pana, w którym wspomniat o szczekaniu psa i całkowitzym braku reakcji kobiety. Przecież głośne ujadanie czworonoga musiało jej przeszkadzać w uczeniu się roli na pamięć. Skoro nie próbowała uczyć się psa, to wniosek nasuwał się jeden: nie było jej w domu. Hamilton doszedł zatem do wniosku, że sąsiad aktorki rzeczywiście słyszał głos Judy — ale uprzednio nagrany na taśmie i feralnego ranka odtwarzany z magnetofonu. To tłumaczyło stwierdzenie starszego pana, że słyszał jak aktorka w kilku powtarza ten sam tekst. Dobre magnetofony kasetowe z reguły wyposażone są w funkcję tzw. autorewersu, czyli automatycznego odwracania odwrotnej ścieżki. Dzięki temu przez wiele godzin można w kółko słuchać tej samej kasety, nie dotykając magnetofonu.

**Rozwiązanie zagadki ze str. 64
pt. „Zadzrosna rywalka”**

Niemieccy śledczy nie znali jeszcze wtedy jego miejsca pobytu. Pomógł im w tym przypadek. 25 marca 1998 roku Drach zadzwonił do swojego kompana, zamieszkałego w holenderskim mieście Vaals, z którym odsiadywał kiedyś karę więzienia. W rozmowie poinformował go, że ma zamiar pójść na koncert „najślawniejszego zespołu rockowego świata”, czyli The Rolling Stones, którego był fanem. Policji udało się ustalić, że rozmowa prowadzona była z telefonu komórkowego z okolic Buenos Aires, stolicy Argentyny. Tam rzeczywiście mieli wystąpić brytyjscy muzycy.

Niemiecka policja skontaktowała się z argentyńskimi kolegami i poprosiła ich o skontrolowanie wszystkich uczestników koncertu. Okazało się to zbyt ciężkie, ponieważ już 26 marca Drach ponownie skontaktował się telefonicznie ze swoim kolegą w Vaals. Bez trudu ustalono, że tym razem dzwoni z hotelu w Buenos Aires. Był na tyle pewny siebie, że w rozmowie bez ogródek poruszył temat prania pieniędzy.

Na prośbę strony niemieckiej do akcji wkroczyła argentyńska policja. Dwa dni później, 28 marca 1998 roku o godzinie 1.30 nad ranem, specjalny jej oddział wkroczył do hotelu i aresztował poszukiwanego przestępcę. Pojawiła się jednak pewna trudność; ponieważ Drach używał podrobionego brytyjskiego paszportu, miał być postawiony najpierw przed argentyńskim sądem pod zarzutem fałszerstwa. W czasie pobytu w areszcie Niemiec próbował za pomocą przekupstwa wydostać się na wolność. Próby te wyszły na jaw i groziła mu dodatkowa kara.

Przez cały ten czas władze niemieckie zabiegały o jego ekstradycję. Strona argentyńska wynajdowała ciągle jakieś formalne przeszkody. Dopiero ponad dwa lata później, 19 lipca 2000 roku, ówczesny prezydent Argentyny, Fernando de la Rúa, podpisał nakaz ekstradycji. Dziesięć dni później Drach został przetransportowany do Niemiec i osadzony w areszcie w Hamburgu.

Proces

Proces Thomasa Dracha rozpoczął się 13 grudnia 2000 roku i składał się z 15 posiedzeń. Na podstawie zgromadzonego materiału dowodowego sąd uznał go winnym porwania i szantażu i skazał na 14 i pół roku więzienia. W uzasadnieniu tak wysokiego wyroku podano, że oskarżony nie zdradził miejsca ukrycia zrabowanych pieniędzy i nie okazał żadnej skruchy. Zachowywał się arogancko i wyrażał się cynicznie o ofierze: „To, że pan Reemtsma siedzi tu cały i zdrowy, można zawdzięczać tylko i wyłącznie rozsądnym sprawcom”. (Faktycznie grozili rodzinie obcięciem mu palca w razie niezapłacenia okupu.) „Zdecydowaliśmy się jednak na łagodniejszy wariant i tylko podwyższyliśmy okup o 10 milionów”. W pewnym momencie zwra-

cając się do Reemtsmy spytał go, czy „nie zna się na żartach?”

W czasie rozprawy Drach ciągle uskarżał się na wysokie kursy przy praniu pieniędzy i „nie-ludzkie” warunki więzienne w Argentynie. Z tego drugiego powodu złożył wniosek o zaliczenie mu aresztu tam odbytego na poczet wyznaczonej mu kary w stosunku 1:3. Sąd odrzucił ten wniosek. Skazany przysporzył wymiarowi sprawiedliwości jeszcze kilku problemów. Dwukrotnie później wzbraniał się (z użyciem siły) przed pobraniem próbki krwi i śliny w więzieniu, za co przedłużono mu karę w 2004 roku o 3 miesiące, a w 2006 o kolejne trzy i pół miesiąca.

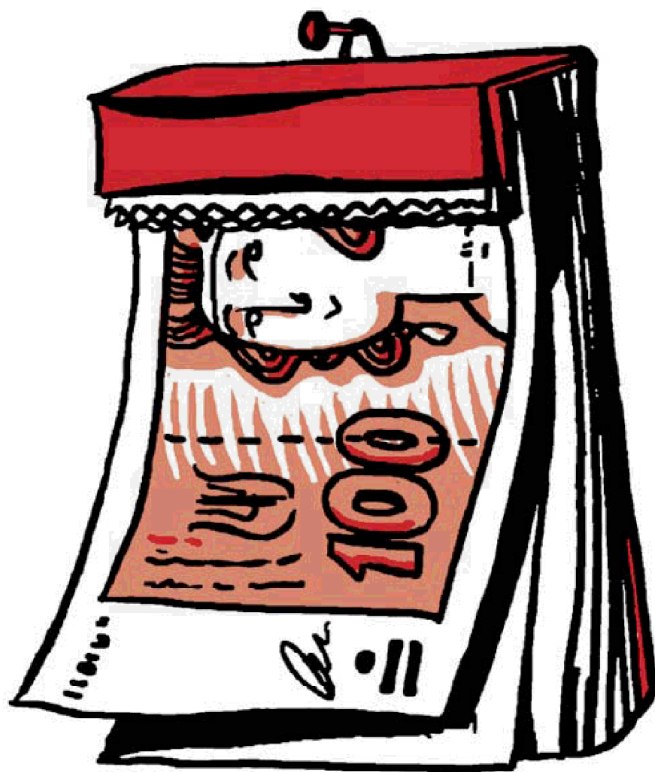
W sierpniu 2007 roku, po odbyciu 2/3 kary, Drach złożył wniosek o wcześniejsze zwolnienie z więzienia. W czasie rozpatrywania tej sprawy, zaproponował przewodniczącej składu sędziowskiego sumę 450 tysięcy dolarów jako „zadośćuczynienie”. Wniosek został odrzucony, ponieważ skazany w opinii sędziów stanowił nadal zagrożenie dla porządku społecznego. W 2008 roku Drach, ze względu na niebezpieczeństwo ucieczki, został przeniesiony z hamburskiego więzienia Fuhlsbüttel do zakładu karnego o zaostrzonym rygorze w Billwerder. W 2009 roku odrzucony został jego kolejny wniosek o wcześniejsze zwolnienie.

W roku 2009 Drach ponownie przysporzył roboty prokuraturze. Tym razem chodziło o podżeganie do napadu i szantażu. Chodziło o jego młodszego brata. Lutz Drach został w listopadzie 2002 roku aresztowany w Madrycie, kiedy szykował się do ucieczki do Ameryki Południowej. Powodem było podejrzenie o udział w praniu brudnych pieniędzy. Sąd w Aachen uznał go winnym tego czynu i skazał na karę 5 lat pozbawienia wolności. (W wyniku rewizji procesu w 2006 roku karę podwyższono do 6 i pół roku.)

Po jego wyjściu na wolność w maju 2009 roku, pracownicy więzienia w Billwerder przechwycili dwa listy Thomasa Dracha (jeden do przyjaciela i współnika, drugi do matki), w których nazywał młodszego brata „pasożytem” oraz „głupim, tchórzliwym nieudacznikiem”. Obwinał go o złe ulokowanie pieniędzy, w wyniku czego stracił co najmniej 30 milionów euro i polecił współnikowi „dopadnięcie” brata i danie mu sześć miesięcy na zdobycie tej sumy. Sąd uznał to za przestępstwo i przedłużył karę Drachowi jedynie o rok i 3 miesiące, uzasadniając niski wyrok tym, że chodzi tu o „czyn między dwoma przestępcami”. Skazany złożył apelację od wyroku, ale Trybunał Federalny odrzucił ją jako nieuzasadnioną.

Na wolności

Thomas Drach został zwolniony z więzienia 21 października 2013 roku i odebrany przez swojego adwokata. Przed wyjściem na wolność zapowiedział, że zamierza wyje-



chać z Niemiec. W ten sposób chciał uniknąć nałożonego przez sąd obowiązku noszenia tzw. „elektronicznych więzów”, czyli opaski umocowanej nad kostką nogi, która pozwala zlokalizować miejsce pobytu delikwenta.

Według ostatnich danych, Drach przebywa na hiszpańskiej wyspie Ibiza, gdzie żyje dostatnio z pieniędzy z okupu, względnie tych, które zdobył w wyniku ich „wyprania” i korzystnego ulokowania.

Trzej pozostali sprawcy uprowadzenia Reemtsmy zostali skazani na kary więzienia od pięciu do dziesięciu i pół roku. Przestępstwo to kryje jeszcze sporo tajemnic. Do tej pory z rekordowej sumy 30 milionów okupu odzyskano zaledwie 1.3 miliona marek. W roku 2014 na Majorce został aresztowany pod zarzutem szantażowania klubu rockersów *Hells Angels* (Anioły Piekieł) niejaki Horst R., 62-letni Niemiec. Grupa ta miała kontakty z Thomasem Drachem i „wyprała” rzekomo część pieniędzy pochodzących z okupu. Horst R., wiedząc o tym przekręcie, wymusił od *Hells Angels* w zamian za swoje milczenie sumę 30 tysięcy euro. Sąd w Aachen skazał go za to na karę 2 lat więzienia w zawieszeniu.

1 stycznia 2002 roku marka zachodnioniemiecka (DM) przestała być w RFN oficjalnym środkiem płatniczym i zastąpiona przez euro. Można ją wymieniać jeszcze tylko w Banku Centralnym. Jeśli Drach i jego współnicy posiadają jeszcze zasoby tej waluty, będą mieli poważne trudności z jej „upłynnieniem”. ■

Andrzej Poll

DR JEKYLL

Roman BASZKIEWICZ

ZA KIEROWNICĄ



Rozwagę i opanowanie za kierownicą coraz częściej zastępuje chamstwo, przemoc i agresja. Wystarczy impuls, by spokojnego i opanowanego zwykle człowieka wyprowadzić z równowagi. Co gorsza: kierowcy bardzo łatwo znajdują usprawiedliwienie dla takich zachowań, choć pewnie – poza samochodem – wstyd by im było za takie postępowanie. Psycholodzy coraz częściej mówią o syndromie tzw. wściekłego kierowcy. Jeśli zatem traktujesz innych uczestników ruchu jako rywali lub wyimaginowanych przeciwników, to zdradzasz już pierwsze objawy tej jednostki chorobowej!

Przez pierwszych kilka miesięcy nikt nie łączył ze sobą przypadków ostrzelania ciężarówek na niemieckich autostradach. Pierwsze takie sygnały wskazywały na bardzo głupie zabawy, ale kiedy odnotowano kilkanaście takich zgłoszeń, sprawa zaczęła się robić coraz bardziej poważna. Przecież wystrzelony nabój mógł trafić kierowcę pędzącego, kilkunastotonowego kolosa. Aż strach myśleć, jakie byłyby efekty utraty panowania nad rozpadzionym autem na zatłoczonej drodze!

Szukanie igły w stogu siana

Polowanie na nieuchwytnego strzelca trwało od 2008 roku. Nie było proste, bo jak opowiadali potem śledczy, przypominało poszukiwanie igły w stogu siana. Najpierw ich działania ograniczały się do penetrowania nieoznakowanymi radiowozami tych fragmentów autostrad, na których najczęściej dochodziło do ostrzału. Najwięcej strzałów padło między Kolonią, Frankfurtem, Norymbergą a Karlsruhe i tam skupiały się działania policyjne. Mijały dni, tygodnie, wreszcie miesiące, jednak nie przyniosło to żadnego efektu. Snajper – tak jak był – tak nadal pozostawał bezkarny. Od 2011 roku na wszystkich zjazdach przy autostradach, gdzie działał nieuchwytny strzelec, wisiały plakaty informujące o poszukiwaniu niebezpiecznego snajpera. Za pomoc w ujęciu przestępcy, czy przestępców wyznaczono nagrodę w wysokości 27 tysięcy euro. Pomimo to nie natrafiono jeszcze na „gorący trop”, a ścigany bandyta jak gdyby drwił sobie z prowadzonego na niego „polowania” i cały czas działał!

W czwartym roku działalności nieuchwytnego przestępcy niemiecka policja zwiększyła nagrodę dla człowieka, który naprowadziłby śledczych na trop nieuchwytnego bandyty. Od tamtej pory była to największa nagroda, jaka kiedykolwiek czekała na policyjnego informatora – z 27 tysięcy euro została zwiększona do 100 tysięcy! Skąd taka „rozrzutność” niemieckich śledczych?! Wszystko dlatego, że „snajper” zmienił kaliber broni, z której strzelał do samochodów. Dotychczas była to amunicja 0,22 cala, stosunkowo mała i stosowana najczęściej w strzelaniu sportowym. Ostatnie ataki były jednak przeprowadzone przy pomocy broni strzelającej amunicją kalibru 9 mm, czyli znacznie potężniejszej i potencjalnie bardziej niebezpiecznej. O zwiększeniu nagrody poinformowała niemiecka policja kryminalna na specjalnej konferencji prasowej. Zaprezentowano na niej też szereg dowodów zebranych w ramach śledztwa prowadzonego od 2008 roku. Przeanalizowano około 700 przypadków ostrzelania samochodów, które miały miejsce głównie na południu i zachodzie Niemiec.

Ściganie przestępcy było nadzwyczaj trudne, poszkodowani kierowcy odkrywali bowiem dziury po strzałach z reguły kilka godzin po zdarzeniu: na przydrożnym parkingu albo na stacji benzynowej. Po analizie balistycznej udało się jedynie ustalić,

że strzały padały najprawdopodobniej z samochodów jadących przeciwnym pasem autostrady. Pociski przeważnie trafiały w długie naczepy. Kierowcy ciężarówek nigdy nie słyszeli strzałów i nigdy nie widzieli nic, co mogłoby służyć jako cień poszlak w śledztwie. Nieznane były również motywy działania nieuchwytnego snajpera.

Policjantom przypomniawszy sprawę 41-letniego cieśli Guntera R., który w 1996 roku osiem razy otworzył ogień do jadących samochodów, i spowodował psychozę strachu na autostradach w landzie Szlwezwik-Holstein. Zanim jednak go zatrzymano, zażądał od lokalnych władz gigantycznego okupu w wysokości 3,2 miliona ówczesnych marek w zamian za odstąpienie od przestępczej działalności. Jego pogroźki potraktowano bardzo poważnie, gdyż na skutek ostrzelania samochodów sześciu podróżujących zostało rannych, w tym jeden ciężko. Niemniej władze nie spełniły jego żądań, a drogowy szantażysta został zatrzymany, potem zaś skazany na karę piętnastu lat pozbawienia wolności.

Przez prawie pięć lat śledczy nie mieli okazji, by pochwalić się sukcesem w tej sprawie. Sprawa wyglądała na bardzo trudną, jeśli nie mówić, że beznadziejną. Niemiecka policja zdecydowała się nagłośnić działalność snajpera, bo ataki na ciężarówki stawały się coraz bardziej niebezpieczne. – *Od kilku miesięcy sprawca używa broni większego kalibru, w związku z czym możemy mówić o jeszcze większym zagrożeniu* – powiedział szef Federalnego Urzędu Kryminalnego. – *Po dziś dzień nie dysponujemy żadną konkretną wskazówką, która zaprowadziłaby nas do sprawcy czy sprawców.*

★ ★ ★

Pod koniec marca 2013 roku na kilku odcinkach autostrad ustawiono zamaskowane, niewielkie kamery, których zadaniem było rozpoznanie i zapisywanie tablic rejestracyjnych przejeżdżających pojazdów. Przy dzisiejszych możliwościach techniki wykonywanie nawet kilkunastu tysięcy zdjęć na godzinę, jak również późniejsza ich analiza, nie są żadnym problemem. I tak było w tym przypadku. Miesiąc później na monitorowanych odcinkach autostrad ostrzelano sześć ciężarówek. Rozpoczęła się analiza samochodów, które znajdowały się w ich pobliżu w momencie oddania strzału. Najprawdopodobniej którymś z nich jechał poszukiwany od lat przestępca. We wszystkich sześciu przypadkach udało się odnaleźć ten sam samochód ciężarowy. Wszystko wskazywało na to, że zacieśnia się pętla wokół autostradowego „snajpera”.

Ostatecznie do ujęcia sprawcy miało doprowadzić żmudne śledztwo polegające na analizie tablic rejestracyjnych ciężarówek przejeżdżających w pobliżu miejsc ataków. Kiedy policja ujawniła kulisy ujęcia autostradowego snajpera, w niemieckich mediach rozpętała się dyskusja o granicach



inwigilacji obywateli. Kiedy okazało się, że śledczy robili zdjęcia każdego samochodu na wytypowanych odcinkach drogi, by osaczyć „autostradowego snajpera”, dziennikarze zaczęli zadawać trudne pytania... Czy państwo może naruszyć prawo do ochrony danych osobowych, aby zapobiec niebezpieczeństwu? Gdzie przebiega granica pomiędzy interesem jednostki a dobrem społeczeństwa? W jakim stopniu państwo może inwigilować obywateli! Dziennikarze „Der Spiegel” zastanawiali się, czy te działania były zgodne z prawem. Urzędnicy zajmujący się ochroną danych osobowych nie byli wcale tego pewni. – *Nawet jeśli poszukiwania strzelca z autostrady zakończyły się sukcesem, to z punktu widzenia ochrony danych, stosowanie tego typu metod jest dwuznaczne* – stwierdził Edgar Wagner, inspektor danych osobowych z landu Nadrenia-Palatynat, dodając: – *Nie ma wystarczającej podstawy prawnej do stosowania na skalę ogólnokrajową tego typu techniki śledczej. W trakcie śledztwa zebrano od 60 do 80 milionów danych dotyczących niewinnych osób, tylko po to, by złapać jednego podejrzanego...*

Prawo prawem, życie życiem. Tak jak nikt nie sądzi zwycięzców, tak i w tym konkretnym przypadku policja nie miała sobie nic do zarzucenia. Według śledczych „nie ma alternatywy dla totalnej inwigilacji” jeśli jej efektem jest zatrzymanie człowieka podejrzewanego o dokonywanie groźnych przestępstw.

Flegmatyk, a taki agresywny

Wreszcie w czerwcu 2013 roku nieuchwytny bandyta znalazł się w rękach policji. Zatrzymanym okazał się Michael Harry K.,

57-letni kierowca ciężarówki z zachodnich Niemiec, który do tej pory nie figurował w policyjnych kartotekach. W jego domu policjanci znaleźli mały arsenał. Podczas przeszukania ciężarówki, w przyczepie ujawniono dwie sztuki broni i setki sztuk amunicji.

Podczas śledztwa wyszło na jaw, że jeden z pistoletów i tłumik przestępca wykonał własnoręcznie w domowym warsztacie, do którego nie miał wstępu żaden z sąsiadów albo znajomych. Podczas ataków na inne samochody, broń ukryta była w kieszeni poduszki powietrznej kierownicy. Znajomi i przełożeni z pracy nie mogli ukryć zdziwienia, że ten niezwykle spokojny, a nawet flegmatyczny mężczyzna, był zdolny do takiej agresji na drodze.

Sprawca został oskarżony o pięciokrotne usiłowanie zabójstwa, niebezpieczne uszkodzenie ciała, nielegalne posiadanie broni i uszkodzenie mienia. Prokurator zarzucił mu ostrzelanie ponad siedmiuset ciężarówek, on przyznał się do „oddania nieznannej ilości strzałów”. I choć w śledztwie chętnie składał wyjaśnienia, to jednak przed sądem nie był już tak chętny do długich monologów. W pierwszym dniu rozprawy mężczyzna przeczytał jedynie lakoniczne oświadczenie: – *Odrzucam zarzut, jakobym chciał spowodować śmierć ludzi. Nie miałem zamiaru nikomu zrobić krzywdy. Bardzo przepraszam tych wszystkich, których w jakikolwiek sposób skrzywdziłem. Dzisiaj jestem świadomy, że moje zachowanie dla osób postronnych jest całkowicie niepojęte.*

Policjantów bardzo intrygowały motywy działania drogowego strzelca. Odpowiedzi, które usłyszeli, były dla nich bardzo dużym zaskoczeniem. Autostradowy snajper strzelał z powodu frustracji na drodze, sprawcą której mieli być cudzoziemcy przejeżdżający tranzytem przez Niemcy. – *Ich zachowanie wielokrotnie doprowadzało mnie do szału* – stwierdził podczas pierwszego przesłuchania. – *Jeżdżą jak szaleni, nie zważają na przepisy, kilka razy zepchnęli mnie do rowu, mimo że jechałem zgodnie z przepisami. Za każdym razem były to samochody z cudzoziemską rejestracją. Miałem tego dość, musiałem jakoś to wszystko odreagować. Na autostradach toczy się wojna między kierowcami, więc załatwiłem sobie broń i zacząłem strzelać. Strzelanie przynosiło mi spokój i satysfakcję.*

Wprawdzie Michaelowi K. podpadali przede wszystkim kierowcy wielkich ciężarówek, niemniej jego złość zwróciła się przeciwko wszystkim użytkownikom autostrad. Strzelał także do samochodów osobowych w regionie Kolonii, tyle że z broni mniejszego kalibru. I przedtem jakoby upewniał się, czy nikt nie siedzi w aucie, bo nie chciał wyrządzić ludziom żadnych obrażeń.

Prokurator zażądał dla niego kary dwunastu lat więzienia, obrońca wnioskował o uniewinnienie klienta, biorąc pod uwagę, że dowody jego winy zostały zebrane w sposób niezgodny z prawem.

Niemiecka Temida nie podzieliła jednak tych argumentów i ostatecznie Michael K. został skazany na karę dziesięciu lat i sześciu miesięcy pozbawienia wolności.

Dawid i Goliat

Autostradowy snajper siejący swego czasu grozę na niemieckich drogach to typowy przykład „road rage”, czyli agresji na drodze, która coraz częściej ma dramatyczny finał. Nawet niewinne z pozoru sytuacje nakręcają w nas spiralę agresji, złości i zdenerwowania. Bardzo często wszystko zaczyna się od niby banalnych sytuacji, stoimy w korku, stres wzmagają się w nas coraz bardziej. Inni kierowcy zaczynają nam działać na nerwy, ktoś zajedzie drogę, jeszcze inny się „wciska”, łamiąc przepisy i zdrowy rozsądek. Ktoś jedzie lewym pasem 30 km/h i w akcie złości wyprzedzasz go, zajeżdżając mu drogę i hamując, zmuszając do gwałtownego hamowania. To już nie są incydenty, to codzienne historie z polskich dróg...

Dawid i Goliat, mały i duży. Duży, czyli Ford Transit, mały – Mini Cooper. Ford blokuje Coopera, nie pozwalając na zmianę pasa. Cooper zwinnie się przedziera i ostro hamuje – tuż przed maską Transita. W odwecie, niech cham zobaczy, jak to miło. Oko za oko. Ząb za ząb. Transit rusza w pogoń za małym. Kilkaset metrów dalej samochody zatrzymują się przed sygnalizatorem, na którym zapalilo się czerwone światło. Z Transita wyskakuje kierowca, elegancki, koło pięćdziesiątki. W rękę łyżka do opon. Jak oszalały wali nią w przednią szybę Coopera. W środku demolowanego auta kuli się kierowca i pasażerka. Oslaniają oczy przed odłamkami szyb. Po chwili agresor słabnie, uspokaja się, spokojnie wsiada do samochodu, czeka na zielone światło i odjeżdża. Zaatakowany kierowca przez telefon komórkowy alarmuje policję. „Szaleńca” ujęto po półgodzinnym pościgu. Wyglądał na zwykłego faceta, obok siedziała kobieta i kilkuletnie dziecko...

★ ★ ★

Zaparkowałam auto przed szpitalem. Było mało miejsca, więc delikatnie otworzyłam drzwi, nie dotykając nimi stojącego obok pojazdu. Nagle z wozu wyskoczył kierowca. Dосkoczył do mnie, zaczął wrzeszczeć, że mu drzwiami pukam w jego auto, że lakier i oczywiście wiącha. Cały czas machał łapami, był coraz bliżej. Schyliłam się za siedzenie, wyjęłam łom i rzekłam, no... niezbyt kulturalnie, żeby mnie zostawił. Facet odszedł. Potem jeszcze raz pokazałam łom innemu mężczyźnie, który wrzeszczał jak opętany na pewną blondynkę, która spowodowała kolizję. W dodatku wjechała w tył mojego samochodu, nie powodując zresztą żadnych uszkodzeń. Za to kierowca z samochodu stojącego za nią dostał ataku

furii. Wyjęłam więc łom i spokojnie spytałam, czy mam go uspokoić. To zrobiło wrażenie. Blondynka dostała ataku histerycznego śmiechu. Uznałyśmy wspólnie, że nie ma powodu wzywać policji i się rozjechałyśmy...

Koniec maja, Gdańsk, piątkowe popołudnie, jednostajny szum silników, sznur aut czekający na wjazd od strony Moreny na ulicę Słowackiego w kierunku obwodnicy. Aneta (kierowca z 20-letnim stażem, jazda bezwypadkowa, bez mandatów) próbuje zjechać na lewy pas. Włącza kierunkowskaz, czeka, czeka, czeka. Wreszcie pojawia się luka. Wjeżdża, podnosi rękę w geście podziękowania. Jednak kierowca samochodu z rejestracją z innego miasta, elegancko ubrany pan po 50-tce, nie chce podziękować. Naciska klakson, a kiedy sznur samochodów po przejechaniu kilku metrów znów staje, wysiada i rusza w stronę kobiety. Aneta blokuje drzwi, mężczyzna szarpie za klamkę. Krzyczy.



SYNDROM MAD MAKSA



Kopie w samochód. Przerzywa na chwilę, by wrócić do swojego wozu i przejechać kolejnych 10 metrów w korku, po czym znów wyskakuje z samochodu. – Chciał urwać lusterko, potem kopnął w opony – wspomina Aneta. – Byłam przerażona. Wreszcie zapaliło się zielone światło i uciekłam...

Na stronach internetowych można znaleźć setki takich zdarzeń. Już w ubiegłym dziesięcioleciu „road rage” został uznany przez amerykańskich psychiatrów za odrębną jednostkę chorobową. Jej objawy mogą narastać: od agresywnej jazdy, „najeżdżania” na zbyt wolno – zdaniem innego kierowcy – poruszający się pojazd, przez nadużywanie klaksonu, aż po zamierzone spowodowanie kolizji, bójki i straszenie bronią. To nie tylko nasz problem – w Stanach Zjednoczonych drogowa furia jest przyczyną śmierci lub poważnych zranień kilkuset osób rocznie. Z kolei Włosi, próbując dociec, jaka jest skala zjawiska, zbadali przed kilkoma laty przyczyny 170 tysięcy wypadków drogowych. Okazało się, że zaburzenia psychiczne, agresję i skłonność do ryzyka kierowcy można było wykluczyć jedynie w 56 tysiącach przypadków. Niestety, w Polsce nikt nigdy nie robił takich badań. Trochę szkoda, bo może by się wtedy okazało, że przyczyną większości wypadków wcale nie jest przekraczanie dozwolonej prędkości, a właśnie nerwy, stres, skłonność do ryzykownych zachowań...

Jest nieprawdopodobne, co dzieje się w głowie kierowcy, któremu nagle ktoś zająchał drogę lub wymusił na nim pierwszeństwo. To wręcz przerażające, do jakich poczynąń zdolny jest człowiek pod wpływem chwilowego impulsu albo frustracji. Można zaryzykować twierdzenie, że coraz więcej kierowców – niczym dr Jekyll – ma podwójną naturę. Bo oto spokojny i na co dzień zrównoważony ojciec i głowa rodziny kiedy zasiądzie za

kierownicą, bardzo łatwo daje się sprowokować i wyprowadzić z równowagi. Wkurza się wtedy z byle powodu, puszczają mu nerwy, przeklina, posuwa się do przemocy fizycznej.

Jeszcze nie tak dawno do bójek na drogach rwali się tylko przestępcy i niezrównoważeni psychicznie. Teraz na drogową wściekłość zapadają zwykli na co dzień kierowcy. Psycholodzy mają nawet wytłumaczenie takich zachowań. Agresji na drodze bardzo sprzyja anonimowość (teoretycznie możemy się szybko dowiedzieć, kto jest właścicielem samochodu, jeśli zapiszemy numery rejestracyjne pojazdu, ale w praktyce i tak trudno udowodnić, że zachował się on w stosunku do nas agresywnie; inna rzecz, że udowodnienie winy takiemu człowiekowi jest praktycznie niemożliwe!).

Bezkarne łamanie przepisów przez jednych kierowców często zachęca innych do takich samych działań. – *Skoro ten przede mną wpycha się przed kolejkę aut i nie ponosi za to konsekwencji, to ja też tak mogę za kilkaset metrów* – tak myśli duża część kierujących. W samochodzie na swój sposób niektórzy z nas tracą kontakt z rzeczywistością, jednocześnie zapominając, że blaszane pudełko, którym kierujemy, nie daje nam nadprzyrodzonych zdolności. Samochód daje poczucie dominacji i anonimowości. Sprawia, że w stosunku do innego kierowcy zachowujemy się zupełnie inaczej, niż choćby do przechodnia na chodniku, przełożonego w pracy czy nielubianego szwagra! Części kierowców sprawia przyjemność sprawowanie kontroli na drodze. Czują się wtedy ważniejsi, bo „puczając” innych albo dając im nauczkę, mają poczucie władzy. Bardzo często w ten sposób reagują ludzie z kompleksem niższości, lekceważeni w pracy lub niedoceniani w rodzinie. Po słuczce, czy szarpnięciu czują się nie tylko oczyszczeni z frustracji. Są dowartościowani, silniejsi i ważniejsi. Tacy ludzie z reguły nie mają litości dla tych, którzy jeżdżą lepszymi od nich samochodami. Doktor Barry

Markell, amerykański psychoterapeuta zajmujący się tematyką agresywnych zachowań wśród kierowców przekonuje, że karoseria samochodu pozbawia kierowców ludzkiej twarzy. Agresywny kierowca w wolno jadącym pojeździe przed sobą nie widzi twarzy osoby, która tym autem kieruje. Widzi tylko przeszkodę, która go spowalnia i irytuje. Zapomina, że po drogach poruszają się także inni zmotoryzowani, ludzie, którzy także są ojcami, matkami, dziadkami.

Kierowcy zapomnieli o dobrych manierach, rozsądku za kierownicą, zasadach bezpieczeństwa oraz o tym, że w erze powszechnie dostępnych smartfonów ich wyczyny „za kółkiem” mogą zostać błyskawicznie upublicznione za pośrednictwem internetu. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, że coraz częściej jesteśmy obserwowani. Nie tylko przez policję, czy kamery miejskiego monitoringu, ale również przez kamery montowane w samochodach takich samych kierowców jak my. Moda na ich stosowanie dotarła do Polski zza wschodniej granicy, gdzie posiada je coraz więcej kierowców. Tam kierowcy zabezpieczają się przed tym, że skorpumpowani policjanci mogą zrzucić winę na poszkodowanego.

– *Agresja pojawia się tam, gdzie w jakimś sensie się opłaca, gdzie jest dla kierowców wynagradzająca* – twierdzi Andrzej Markowski, psycholog transportu. – *Widać to zwłaszcza w Europie Wschodniej, gdzie brakuje egalitaryzmu w przestrzeganiu norm. U naszych wschodnich sąsiadów, ale częściowo i w Polsce, panuje przekonanie, że im wyżej jest się w hierarchii społecznej, tym na więcej można sobie pozwolić. Agresywny styl jeżdżenia daje poczucie siły, bezpieczeństwa, utwierdza w przekonaniu o własnej wartości.*

Dziczejemy za kierownicą, bo społeczeństwo stało się agresywne, ale powodem jest też rosnąca frustracja na drogach, którą wywołują niepotrzebne znaki drogowe, czasem zaprzeczające sobie, czy światła ustawione w odległości kilkuset metrów, które nie są zsynchronizowane. Spirala agresji się nakręca, sfrustrowani, wściekli mężczyźni za kółkiem rozglądają się w poszukiwaniu odpowiedniej ofiary, na której mogą się wyładować.

Agresja agresji nie jest równa. Czym innym jest celowe tamowanie ruchu, błyskanie oślepiającymi światłami, trąbienie albo wyciągnięty środkowy palec w kierunku innego użytkownika drogi, czym innym zaś rękoczyn: uderzenie innego kierowcy w twarz, w głowę albo nawet pobicie czy okaleczenie. To już zwyczajne bandyckie przestępstwa, za popełnienie których grozi odpowiedzialność karna z pobytem w zakładzie karnym łącznie. Tych ostatnich zdarzeń z roku na rok jest niestety coraz więcej. Przed kilkoma laty sporadycznie dochodziło do takich zdarzeń, a jeśli nawet się zdarzały, to ich uczestnikami byli pospoliccy przestępcy lub wyjątkowo niezrównoważeni psychicznie osobnicy. Ostatnio coraz częściej za rękoczyny zabierają się zwykli ludzie: wzorcowi ojcowie rodzin, biznesmeni, kadra kierownicza. W tej

d dziedzinie jesteśmy już w Europie: szacuje się, że Polsce, podobnie jak w wielu krajach europejskich, urzędnicy biurowi wyższego szczebla i kadra menedżerska stanowią ponad jedną piątą osobników wszczynających kłótnie na drogach, osoby prowadzące działalność i właściciele firm – ponad 15 procent. Z reguły mają po 30 – 40 lat i w ten sposób odreagowują irytującą ich codzienność.

Zjawisko road rage, nazywane niekiedy przez policjantów z drogówki syndromem Mad Maksa – od filmu, w którym szaleni kierowcy walczą ze sobą i taranują się nawzajem samo-

chodami, to przede wszystkim domena wielkich miast. W Polsce dopiero zaczynamy ostro walczyć z osobnikami zarażonymi syndromem Mad Maksa, na Zachodzie – walka z tym zjawiskiem jest bezparadonowa. W Belgii „wściekli” kierowcy poddawani są przymusowej terapii psychologicznej, w Niemczech policja karze mandatami liczonymi w setkach euro nawet tych kierowców, którzy pokażą innym „niewinnego” fuck, równie ostro walczy się z tym za oceanem: w Stanach Zjednoczonych i Australii, jednak skutek tych działań jest mizerny. Jak poskromić drogowych wariatów? Jak nie paść ich ofiarą? Optymiści przekonują, że polskie drogi i tak są oazą spokoju w porównaniu z tym, co dzieje się np. we Włoszech, czy w Wietnamie. Pesymiści wieszczą, że niedługo mogą się stać miejscem przemocy znanej z rosyjskich ulic. Jak będzie, zależy od nas samych. To banał, ale prawdziwy. ■

Nie daj się sprowokować!

– Unikajmy kontaktu wzrokowego z agresorem. Udajmy, że nie widzimy obraźliwych gestów kierowanych pod naszym adresem. Im bardziej będziemy się przeżywać, tym większą wzbudzimy agresję.

– Niekiedy dla świętego spokoju lepiej przeprosić awanturującego się kierowcę, wiedząc nawet, że nie ma racji... tym bardziej jeśli ten drugi jest większy, sprawniejszy i – najprawdopodobniej – silniejszy.

– Niekiedy warto zrobić coś, czego się agresorzy nie spodziewają, na przykład przeprosić uniesioną ręką, udać nieporadnego kierowcę i spokojnie pojechać dalej.

– Zjedźmy takiemu kierowcy z drogi i pozwólmy się mu spokojnie oddalić.

– Nie ścigajmy się z innymi kierowcami, nie nadużywajmy klaksonu w celach „wychowawczych”.

– Jeździmy prawym pasem ruchu. Lewy służy do wyprzedzania. Agresor na drodze może uznać, że jadąc wolno lewą stroną, złośliwie i celowo blokujemy mu drogę.

– Jeśli uważasz, że zachowanie takiego kierowcy może być niebezpieczne dla innych użytkowników drogi, zawiadom policję, podając opis auta, numery rejestracyjne, kierunek, w którym pojechał.

Roman Baszkiewicz

KROPLE ŻYCIA

Stefan KOTKOWSKI

Prokuratura szykowała się na szybki i łatwy proces. Zabezpieczono mocne dowody, przesłuchano świadków. Sprawa skomplikowała się, gdy z laboratorium przyszły wyniki badań „leku”.



Władysław Z. był marynarzem. W zasadzie całe życie spędził na morzu, pływał na wielkich jednostkach towarowych. W domu w Gdyni na długie tygodnie żonę zostawiał samą, potem było kilka wspólnych dni i znowu powrót na statek. Życie w tym rytmie przeleciało szybko. Pan Władysław z każdym kolejnym rokiem odliczał czas dzielący go od emerytury. Wyobrażał sobie spokojne dni przy boku żony, mieli mieszkanie, trochę gotówki odłożonej na koncie.

– Czego więcej potrzeba do szczęścia? – zastanawiał się, gdy ostatni raz schodził na ląd.

Niestety już pierwsze tygodnie zasłużonej emerytury pokazały, że starość wcale nie musi być tak różową jak to sobie wymarzył i zaplanował.

Życie w dużym mieście pełnym ludzi, ciągle za czymś goniących, denerwowało go. Przyzwyczajony do samotności i obecności tylko kilku kolegów marynarzy, nie potrafił się odnaleźć na zatłoczonych ulicach. W domu również nie było lepiej. Po kilku wspólnych tygodniach spędzonych z żoną doszedł do wniosku, że niewiele go z nią łączy. Co prawda mieli długi staż małżeński, ale co z tego? Przecież większość czasu spędzili oddzielnie i teraz okazało się, że nie potrafią żyć razem. Nie klócili się, ale panująca w domu cisza była jeszcze gorsza.

Po roku wspólnego życia spędzonego na nauce schodzenia jej z drogi w ciasnym mieszkaniu zaproponował rozwód. Obyło się bez płaczu, krzyków, kłótni i żenujących scen na sali rozpraw w sądzie. Mieszkanie w Gdyni zostawił żonie, w zamian całe oszczędności zgromadzone w banku mógł przeznaczyć na kupno wymarzonego domku na wsi.

Pieniądzy nie starczyło na super dom. Musiał się zadowolić starą chałupą ze spadzistym dachem, piecami kaflowymi i zimną wodą w studni. Za to za oknami miał zielone pola i lasy pełne grzybów, gdy przyszła jesień.

Wioska położona koło Gniezna liczyła kilka chałup. Już po kilku dniach znał jej wszystkich mieszkańców. Znowu było prawie jak na statku.

Nauczycielka

Barbara W. była bardzo lubianą przez dzieci nauczycielką w szkole podstawowej w Gnieźnie. Zbliżały się jej 60 urodziny i choć wiedziała, że wróci ze szkoły z naręczem kwiatów od uczniów, to jednak z niepokojem myślała o tym dniu. Zbliżał się czas przejścia na emeryturę. Dzieci pani Barbary już dawno dorosły, wyfrunęły z domu i założyły własne rodziny. Doczekała się również sporej gromadki wnuków, jednak praca w szkole była dla niej bardzo ważna. Nie wyobrażała sobie życia bez niej.

Wiedziała, że dyrektor znowu zacznie ją namawiać na przejście na zasłużony odpoczynek.

– Pani Barbaro, ma pani swoje lata, czas pomyśleć o sobie – już kilka razy próbował z nią rozmawiać na ten temat. Na szczęście udawało się jej zmienić temat.

Mimo przepracowanych lat, czuła się młodo i zdrowie również dopisywało. Spodziewając się powrotu do tej rozmowy, postanowiła wytrącić mu z rąk

główny argument. Postanowiła udać się do lekarza i zafundować sobie dokładne badanie.

Wizyta u lekarza miała jej pomóc w rozmowie z dyrektorem, ale rutynowe badanie odmieniło jej życie. Złe wyniki krwi i skierowanie na dodatkowe badanie, prześwietlenie, USG i w końcu rozmowa z lekarzem.

– Wykryliśmy u pani guza, badania potwierdziły nasze przypuszczenia, wypiszę pani skierowanie do szpitala onkologicznego w Poznaniu – krótka diagnoza oznaczała dla niej pożegnanie ze szkołą.

Niestety badania specjalistyczne zabrzmiały jak wyrok – rak piersi. Rodzina i przyjaciele oczywiście pocieszali. Lekarze mówili o skuteczności chemioterapii. Pani Barbara dzielnie znosiła pobyt w szpitalu. Miała dużo wolnego czasu. Od jednej z pacjentek z sali obok usłyszała o cudownym leku... Zainteresowała się nim.

Znachor

Władysław Z. pracując przez lata na morzu wolny czas spędzał na czytaniu. Gdy koledzy siedzieli z piwem w ręku wpatrzni w ekran telewizora, on wołał w swojej kajucie oddawać się swojej pasji. Szczególnie zainteresowały go lektury z parapsychologii i wszelkie dywagacje na temat niewyjaśnionych zagadek oraz wizyty „obcych” na Ziemi.

Czas w domku na wsi płynął równie wolno, jak na statku z tą tylko różnicą, że za oknem zamiast błękitnego morza miał zieleń pól i łąk. Postanowił to wykorzystać. Z kolorowym atlasem ziół w ręku wyruszał w teren i zawsze wracał z kolejną zdobyczą. Powoli uczył się rozpoznawać zioła. Wielką pomocą okazał się komputer. W internecie pan Władysław znalazł mnóstwo stron poświęconych tej tematyce, udzielał się na forach internetowych, wymieniał się spostrzeżeniami z innymi fanami zielarstwa.

Wkrótce jego mieszkanie zmieniło się w magazyn pełen suszonych roślin, wywarów, syropów oraz nalewek. Gdy dopadało go przeziębienie, fundował sobie kurację ziołową.

Ale zwykła grypa nie była wyzwaniem. Pan Władysław ze swoich lektur wyniósł przekonanie o słabości współczesnej medycyny. Według niego zabrnęła w ślepy zaułek. Tylko w chemii widziała ratunek, a on wierzył jeszcze w potęgę wiary. Tylko odwołując się do duchowości można zwalczyć chorobę – uznał. Zioła miały w tym pomóc. Wkrótce miał gotowy lek. Swój specyfik nazwał „Kroplami życia”. Znajomy informatyk pomógł mu zbudować własną stronę w internecie, za pomocą której zaczął reklamować swój lek. Cudowna mieszanka ziół radziła sobie z większością znanych chorób, ale przede wszystkim miała pomóc chorym na raka i AIDS.

Wizyta u szarlatana

Po pierwszej dawce chemii pani Barbara została wypisana ze szpitala. Pan Krzysztof przyjechał po matkę samochodem. Kiedy syn wioził ją do domu, usłyszał prośbę:



– Pojedziesz ze mną w sobotę w okolice Gniezna. Od znajomej mam adres dobrego lekarza. Stosuje nowy lek, podobno bardzo skuteczny. Widziałam artykuły w gazecie. Żeby go przekonać do podróży, pokazała ksera artykułów opisujących osiągnięcia zachwalanego lekarza.

– Ależ mam, nie wierz w te bajki opisywane w tabloidach, oni pisali już o wielorybie płynącym Wisłą – odpowiedział szybko, zerkając na wycinki z prasy, ale zaraz pożałował. Nie chciał robić jej przykrości. Wiedział, z jak ciężką chorobą walczyła.

Zgodził się z nią pojechać. Od samego początku był bardzo sceptycznie nastawiony do tego pomysłu. Ale kiedy zobaczył rozwalającą się chałupę „lekarza”, nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z oszustem.

Jednak było za późno, stojąc na progu domu rzekomego lekarza, nie warto było ciężko chorej kobiecie odradzać wizyty.

Emerytowany marynarz oczywiście ukrył swoją zawodową przeszłość. Wykorzystywał jedynie opowieści o wizytach w egzotycznych krajach. Z rozmowy wynikało, że zielarstwem zajmuje się od dawna i zjeździł pół świata w poszukiwaniu wskazówek i odpowiednich składników potrzebnych do produkcji wielce skutecznego „kropli życia”.

Farmaceuci z całego świata dobijają się do niego i namawiają, by sprzedał im prawa do swojego cudownego leku, ale on się nie zgadza. Zna doskonale mechanizmy działające na tym rynku. Wielkie koncerny farmaceutyczne wcale nie są zainteresowane produkcją takiego leku. Chcą tylko zablokować

jego wytwarzanie. Gdyby sprzedał prawa do swojego eliksiru, to receptura wylądowałaby w szufladzie pana prezesa.

– Dla takich firm nie liczy się zdrowie pacjentów. Im chodzi tylko o pieniądze, to bezlitosny biznes nastawiony wyłącznie na zysk – tłumaczył chorej kobiecie. – Oczywiście, jeśli znajdzie się oferta za milion dolarów za mój lek, to się zgodzę, ale tylko pod warunkiem, że wprowadzi produkt do aptek.

Emerytowana nauczycielka z zachwytem słuchała wykładu o nowym specyfiku, ziołach, wpływie planet na życie człowieka. Zupełnie inne odczucia miał jej syn. Był pewien, że ma do czynienia z szarlatanem. Zastanawiał się tylko jak groźnym.

Na szczęście „producent” cudownego leku nie kazał zaprzestać leczenia proponowanego przez lekarzy. Obawiając się o zdrowie matki, odstawienia prawdziwych leków syn bał się najbardziej. Jeśli kilka kropeł tajemniczego wywaru zażywanego codziennie jest skuteczniejsze od chemioterapii, to istniało realne niebezpieczeństwo wycofania się z bolesnego i uciążliwego leczenia.

Syn zastanawiał się jeszcze nad składem chemicznym kropli. Co prawda na oczach gości zielarz opróżnił sam do dna całą zawartość małej buteleczki, ale i tak pan Krzysztof postanowił oddać lek do analizy.

W tym celu oprócz buteleczki na potrzeby matki kupił jeszcze jeden flakonik dla siebie. Dom opuszczali ubożsi o dwieście złotych.

– Teraz państwo widzą, jak bardzo zagrożone muszą się czuć koncerny farmaceutyczne. Przecież każda chemioterapia kosztuje kilkakrotnie, a może i kilkadziesiąt razy więcej. Przy tym mój lek nie przynosi żadnych skutków ubocznych i przy okazji oczyszcza organizm, i walczy z innymi chorobami – w tym miejscu wymienił długą listę chorób od prozaicznego zatwardzenia aż po AIDS... Gdyby goście mieli więcej czasu, zapewne lista ta byłaby o wiele dłuższa.

Zdenerwowany syn poganiał matkę. Chciał ją jak najszybciej zabrać do domu. Obserwując ją, zauważył, że pseudonaukowe wywody zielarza zrobiły na niej olbrzymie wrażenie.

Prywatne śledztwo

Pan Krzysztof nie chciał tego tak pozostawić. Matce nic nie powiedział o swoich obawach, ale postanowił działać. W pracy poprosił o jeden dzień urlopu. Szef, wiedząc o poważnej chorobie, która spadła na jego matkę, zgodził się bez problemu.

Następnego dnia przyjechał sam do wioski, by dowiedzieć się więcej o zielarzu. Zaczął od krótkiej wizyty w wiejskim sklepie. W tak małych osadach jedyny sklep w wiosce pełni ważną rolę. Tutaj codziennie spotykają się mieszkańcy i wymieniają się informacjami, spostrzeżeniami i zwykłymi plotkami. Wokół sklepu toczy się bogate życie towarzysko-kulturalno-informacyjne.

– „Krople życia?” Ha, ha, ha... – zaśmiała się starsza kobieta za ladą. Meble w sklepie pamiętały prawdopodobnie jeszcze czasy doskonale prospe-

rującego PGR-u. Wówczas wszyscy mieli pracę i pieniądze, tylko w sklepie nie było produktów. Teraz było zupełnie inaczej, półki w sklepie uginały się pod ciężarem zagranicznych towarów w jaskrawych opakowaniach, tylko mało kogo było na nie stać.

– „Krople życia” to on codziennie kupuje u mnie w sklepie. I nie takie tam tanie, jak pozostałe biedaki. Żadnych nalewek za cztery złote, czy też wina marki wina. Tylko gorzała markowych producentów. Nasi to wódkę piją tylko na weselu albo stypie, a on codziennie butelkę albo dwie kupuje – wyżałiła się, krytykując zły gust mieszkańców.

– Może do produkcji nalewek potrzebuje? – spytał.

– To od razu te nalewki wypija, bo śmierdzi od niego jak z gorzelnii i chodzi po wsi zygakiem – sprzedawczyni nie pozostawiła wątpliwości, na co idą pieniądze uzyskane ze sprzedaży „kropli życia”.

Pan Krzysztof udał się jeszcze do sołtysa. Po drodze dyskretnie wypytał mieszkańców, co wiedzą o swoim nowym sąsiedzie. Niestety wyłonił się z tego obraz oszusta i pijaka.

Prawie codziennie pod domem producenta „kropli życia” pojawiał się kolejny samochód. Po cudowne lekarstwo przyjeżdżali chętni z innych miast. Pojawiały się rejestracje z całego kraju. Każdy płacił zielarzowi co najmniej po sto złotych. To była kwota wyjściowa.

– Produkcja leku kosztuje. Muszę prosić o sto, a jeśli państwa stać i chcą wspomóc dalsze badania nad lekiem, to proszę o większą sumę – pan Krzysztof doskonale zapamiętał to zdanie.

Jeśli ten proceder kwitł od tygodni, to domorosły zielarz nieźle zarabiał. Miał co przepijać, ponieważ stan domu, mebli, ogrodu wskazywał jednoznacznie, że gospodarz nie wydał ani złotówki na poprawę warunków mieszkaniowych. Żył w brudzie i nędzy.

Śledztwo prokuratora

Jeszcze tego samego dnia pan Krzysztof wybrał się do prokuratury, by poinformować o możliwości popełnienia przestępstwa. Handel lekami w Polsce dokładnie reguluje ustawa farmaceutyczna uchwalona w 2001 roku. Za nielegalną sprzedaż leków grozi do 2 lat pozbawienia wolności. Samozwańczy zielarz naruszył również przepisy dotyczące produkcji leków. Prokuratura wszczęła śledztwo mające dokładnie ustalić, jakie przepisy naruszył emerytowany marynarz.

W domu zielarza pojawili się śledczy w asyście kontroli Sanepidu. Pobrano próbki leku do zbadania i przesłuchano podejrzanego.

Pan Władysław nie zrażony nagłym nalotem służb barwnie opowiadał o swojej działalności. Wyrzcił wielkie zdziwienie, słysząc, że produkcja mieszanek leczniczych z ziół wymaga stosownych pozwoleń i również podlega pod ustawę o prawie farmaceutycznym.

– Biorę drewnianą beczkę, wrzucam zioła, zalewam spirytusem i tak powstają „krople życia” – szczerze przyznał się na przesłuchaniu. Na pytanie, jakie dokładnie zioła używa, odpowiedział wymijająco:

– Zależy od pory roku, na polu i w lesie pełno wartościowych ziół. Tylko trzeba wiedzieć, jak je wykorzystać – tłumaczył się.

Prokuratura szykowała się na szybki i łatwy proces. Zabezpieczono mocne dowody, przesłuchano świadków. Sprawa skomplikowała się, gdy z laboratorium przyszły wyniki badań „leku”. Nie zawierały żadnych substancji czynnych farmakologicznie. Ilość ziół była tak śladowa, że eksperci w zasadzie produkt określili jako czystą wodę. Analiza pobranych próbek wskazywała, że woda najprawdopodobniej pochodziła ze studni znajdującej się na podwórku posesji byłego marynarza. W takiej sytuacji oskarżenie o handel lekami stał się niemożliwy.

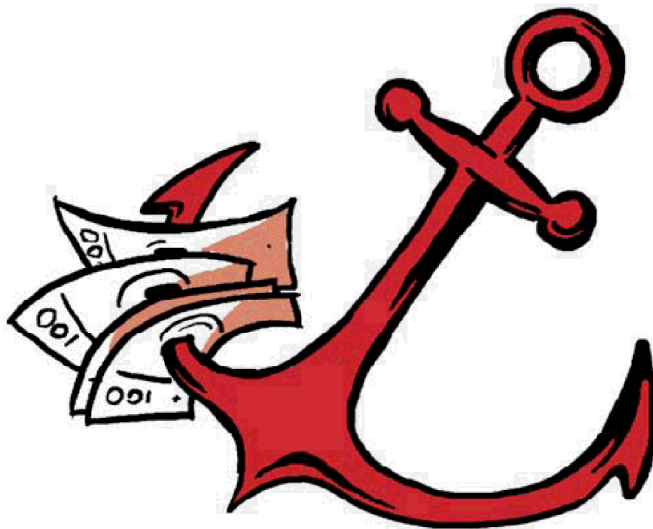
Wznowiona produkcja

Ucieszony decyzją prokuratury Władysław Z. wrócił do produkcji „cudownych” kropli. Rozwinął stronę internetową. Bardzo mocno reklamował swoje usługi. Podpierał się wiedzą ezoteryczną, astrologią, medycyną niekonwencjonalną, wróżbami, a nawet magią.

Pojawił się w Szczecinie na kongresie wiedzy ezoterycznej, reklamując swój produkt. Przygotował nawet specjalny wykład na temat swoich osiągnięć. Zachwalał skuteczność kropli, podpierając się artykułami z prasy brukowej, opisującej rzekomo cudowne wyzdrowienia chorych na raka. Jedna z gazet opublikowała tekst ze zdjęciami opisujący dramat młodej matki. 19-letnia dziewczyna uciekła z domu rodziców. Weszła w złe towarzystwo, zaczęła używać narkotyków. W końcu okazało się, że jest w ciąży i nawet nie wie, kto jest ojcem dziecka. Podczas badań lekarskich lekarze wykryli u niej wirusa HIV. Dziecko niestety urodziło się zarażone śmiertelną chorobą. Dlatego kobieta zwróciła się o pomoc do Władysława Z. Ponoć kuracja „kroplami życia” pomogła usunąć wirusa.

Artykuł w gazecie ogólnopolskiej musiał zrobić wrażenie. W małej wiosce codziennie pojawiała się kilka samochodów z pacjentami szukającymi ratunku.

Mieszkańcy zaczęli na emerytowanego marynarza mówić szarlatan. Z zawiścią spoglądając na coraz





większą liczbę „pacjentów” go odwiedzających. Jeśli każdy zostawia co najmniej stówę, to zazdrosnym sąsiadom łatwo było oszacować przybliżony dochód zielarza.

Sprytny oszust i na to znalazł rozwiązanie. Choć zarabiał bardzo dobrze, ciągle żył skromnie. Nie remontował domu, nic nie kupował. Chodząc do wiejskiego sklepu po wódkę, zaczął kupować kilka butelek taniego alkoholu dla stałych klientów okupujących ławkę pod sklepem niezależnie od pogody na dworze.

Tym tanim sposobem zjednął sobie lokalną społeczność. Kilka razy potrzebującym pożyczył trochę pieniędzy.

Mieszkańcy po publikacjach w prasie byli dumni ze swojego sąsiada.

Udana chemioterapia?

Pani Barbara zgodnie z poleceniem zielarza nie rezygnowała z brania przepisanych przez lekarza tabletek, ale również pomimo triumfalnie obwieszczonych przez syna wyników badań o nieskuteczności „kropeli życia” potajemnie codziennie łykała jedną kroplę specyfiku.

Mały flakonik zabierała ze sobą do szpitala onkologicznego. Podała się kolejnej chemioterapii. Dzielnie znosiła uciążliwe leczenie. Patrzyła w swoje odbicie w lustrze i obserwowała, jak powoli zaczyna ją odrastać jej włosy na głowie. Po kilku tygodniach lekarze dali nadzieję.

– Udało się pani przejść przez najgorszy etap leczenia. Wyniki są coraz lepsze. Choroba może się jeszcze uaktywnić, ale wszystko wskazuje na to, że będzie pani zdrowa – usłyszała słowa lekarza przy wypisie ze szpitala.

Uradowany syn odebrał ją ze szpitala. W drodze do domu opowiadał:

– Widzisz, mówiłem, że lekarze ci pomogą, a ty uparłaś się na wizytę u oszusta sprzedającego zwykłą wodę ze studni – pani Barbara, słuchając tych słów, ścisnęła mocno w rękę niewielką buteleczkę. Na dnie pozostało już tylko kilka kropel.

Prokurator nie odpuszcza

Prokurator prowadzący śledztwo długo nie mógł pogodzić się ze swoją przegraną. Okazało się, że oszust w świetle polskiego prawa może sprzedawać wodę chorym, obiecując im cudowne wyzdrowienie. Była jeszcze szansa, by postawić mu zarzut oszustwa. Sprzedaż wody, jako lekarstwa w celu uzyskania znacznych korzyści materialnych. Tylko był jeden problem. Zielarz wyciągnął odpowiednie wnioski z próby postawienia mu zarzutów. Wznawiając swój proceder, nawet nie próbował kłamać na temat swojego „leku”.

Otwarcie mówił, że skuteczność produktu ukryta została w sile nadprzyrodzonej.

Trudno więc by było w sądzie udowodnić oszustwo. Prokurator przewidywał powoływania się na pseudonaukowe wywody z pogranicza magii. Kupujący był informowany o magicznej sile produktu, więc trudno w tym przypadku mówić o oszustwie. Jednak nie można było przejść obojętnie obok oszusta żerującego na naiwności ciężko chorych ludzi. Czego nie udało się wyegzekwować przy pomocy prawa, szybko wykonała skarbowka.

Okazało się, że cały proceder Władysław Z. prowadzi na czarno. Nie otworzył działalności gospodarczej, a także nie płacił podatku. Kto wykonuje działalność gospodarczą bez wymaganego zgłoszenia do ewidencji działalności gospodarczej, wpisu do rejestru działalności regulowanej lub bez wymaganej koncesji albo zezwolenia, podlega karze ograniczenia wolności albo grzywny – z takiego paragrafu czeka kara sprytnego producenta „kropel życia”. ■

Stefan Kotkowski

Wszystkie personalia zmieniono.

W PRENUMERACIE



ZAWSZE TANIEJ

PRZECZYTAJ BESTSELLEROWY THRILLER,
OD KTÓREGO NIE MOŻNA SIĘ ODERWAĆ!



Nic nie jest takie,
jakim się wydaje

Wypadek, który może okazać się zabójstwem.
Międzynarodowy spisek szpiegowski.
Śmiertelne niebezpieczeństwo.

PREMIERA
4 MARCA

DETEKTYW

w wersji na czytniki



2,99
PLN Z VAT



WWW.DETEKTYW.EU

TAJEMNICZY ŁUP

Konrad SZYMALAK

To miał być dla „Remika” kolejny nudny dzień, rozpoczęty na ławce pod osiedlowym sklepem. Dochodziła godzina dziesiąta, przeszły już cztery kolejki piwa z kolegami, kończyły się pieniądze, i czas było się zastanowić, skąd wziąć fundusze na resztę dnia. Nagle pod sklep podjechało czarne, luksusowe Audi na katowickich numerach rej-

stracyjnych, z którego wysiadł postawny, elegancko ubrany jegomość i spytał o „Remika”. Ten podniósł się zaniepokojony i podszedł do nieznanego. „Mam dla ciebie gryps od Rudego” – usłyszał. Chcąc zrobić dobre wrażenie na przybyszu, spytał: „Ile się należy?”. Ten mu odparł tylko, że zdąży się jeszcze rozliczyć...



Remik, czyli Mieczysław W. i Tomasz G. vel „Rudy” znali się z „zawodówki”. Tam pierwszy raz w życiu popełnili przestępstwo, kradnąc złom z praktyk w ślusarni. W marcu 2002 roku dokonali włamania do sklepu monopolowego w Chorzowie, za co Tomasz G. został skazany na cztery lata pozbawienia wolności. Oby im udało się wtedy zbiec z łupem, w postaci kasetki z gotówką, w której zdaniem właściciela znajdowało się dziesięć tysięcy złotych. Policja zatrzymała obu mężczyzn, ale świadek, który ją zawiadomił o włamaniu, rozpoznał jedynie Rudego. Kasetki z pieniędzmi przy nim nie odnaleziono, jak również w mieszkaniu Remika. Choć Mieczysław W. nie przyznał się do udziału we włamaniu, był obserwowany przez policję, na ewentualność podjęcia schowanych pieniędzy z kradzieży. Jednak śledztwo wykazało, że najwidoczniej podejrzany nie wiedział, gdzie jego współnik ukrył łup i postępowanie przeciwko Mieczysławowi W. umorzono.

Rudy zdawał sobie sprawę, że po wyjściu na wolność będzie także obserwowany przez policję i nie będzie mógł podjąć pieniędzy. Wpadł na pomysł, by wysłać gryps do Remika za pośrednictwem swojego towarzysza z celi – Rafała H. Chodziło o to, aby ten niepostrzeżenie wyciągnął łup ze skrytki, zanim on wyjdzie na wolność. Plan byłby dobry, gdyby policja nie zorientowała się wcześniej, że na taką ewentualność Rudy będzie mógł się zdecydować przy okazji opuszczenia zakładu karnego w Nysie przez Rafała H. Od tego momentu Remik został poddany obserwacji ponownie. Rafał H. był dobrym kandydatem do tego zadania. Odsiadywał wyrok za nieumyślne spowodowanie śmierci i był człowiekiem zamożnym. Nie połaszczyłby się na kilka tysięcy złotych łupu.

★ ★ ★

Śląska policja nie desygnowała do obserwacji Remika wzmoczonych sił. Tylko jeden patrol uczestniczył w poruszaniu się za kluczącym po górnośląskiej aglomeracji podejrzany. Policjanci byli przekonani, że w wiadomości od Rudego znajdowały się wskazówki, służące do odnalezienia kasetki z łupem. Rafał H. musiał Remika uprzedzić o fakcie, iż był obserwowany, gdyż funkcjonariusze zdawali sobie sprawę, że Mieczysław W. próbował wyprowadzić ich w pole, by zyskać swobodę działania. Najpierw udał się do Parku Śląskiego. Błądził w nim około dwóch godzin, a następnie udał się w okolice ulic Wschodniej i Akacyjowej. Tam pospacerował kilkanaście minut i już nie zważając na to czy był śledzony, wrócił do domu w Chorzowie Batorym. Następnego dnia był widziany, jak błąkał się w Katowicach w rejonie ulicy Jagiellońskiej. Policja zrezygnowała ze śledzenia go i zdecydowano o oparciu dalszej obserwacji na podsłuchu jego telefonu komórkowego. Przez najbliższych kilka dni przemierzał trasę z Gliwic do Olkusza. Śledczy już

zaczęli wątpić, czy Rafał H. rzeczywiście przekazał Remikowi jakiegokolwiek informacje na temat skradzionych pieniędzy podczas włamania.

Rafał H. zaaranżował spotkanie z Remikiem w zajeździe „Caro” nieopodal Katowic. Liczył, że policja w końcu dała Mieczysławowi W. spokój, ale mylił się. Umówił się z nim telefonicznie na godzinę dwudziestą, tymczasem przybył do lokalu półtorej godziny wcześniej, by sprawdzić, czy nikt na nich nie będzie czekał z zamiarem podsłuchania rozmowy. Kilka minut po jego wejściu, przyszedł jego mość w czarnej skórzanej kurtce, którego Rafał H. w ciemno typował na policjanta. Postanowił jednak spokojnie poprowadzić grę po swojemu, nie dając poznać, iż się zorientował.

Remik przyjechał punktualnie, zamówił piwo i uważnie zaczął się przyglądać znakom ostrzegawczym, wysyłanym przez H. – *Sprawdziłeś wszystkie adresy?* – spytał Remika – *Tak. Trzy pasują, a tych dwóch nie widziałem.* Rafał uczynił uspakajający gest w jego stronę dłonią i zalecił mu nieopuszczanie domu przez nadchodzący tydzień. Rafał H. chciał skupić uwagę policji na sobie. Jednak przez organy ścigania był odbierany, jako „przestępca średniej klasy” i nie był w stanie wyprowadzić śledczych w pole, o czym świadczyła już wizyta w „Caro”, gdzie wmówił sobie i Remikowi, że przypadkowy gość lokalu to policjant, a otrzymał mikrofon podsłuchowy w solniczce, na co nie nabrałby się nawet prosty złodziej. Zgodnie ze swoimi intencjami Rafał H. zwrócił na siebie baczniejszą uwagę policjantów, a Remik nie wychodził z domu.

Tymczasem oficer śląskiej policji starszy aspirant Marian G. zajął się analizą podsłuchanej rozmowy. Porównał jej treść z trasami przebytymi przez Mieczysława W. i okazało się, że „trzy pasujące” to luksusowe Mercedesy klasy S, parkowane pod odwiedzanymi przez W. adresami. Marian G. postanowił poddać obserwacji trzy samochody i upewnić się, czy Rafał H. pojawi się przy nich i jak się zachowa. W tej sytuacji udało się Rafałowi H. zagrać policji na nosie, gdyż na oczach funkcjonariuszy podszedł do jednego z obserwowanych Mercedesów, wyjął kluczyk, otworzył auto i odjechał. Policjanci byli zaskoczeni, ale nie mieli podstaw do interwencji, czy zatrzymania mężczyzny. Marian B. przyjął hipotezę, że być może był to samochód jego znajomych i po prostu go pożyczył. Jednak kilka dni później wpłynęło zgłoszenie kradzieży owego samochodu. Oficer był zdumiony. Jak to możliwe, że zawiadomiono o kradzieży luksusowego auta kilka dni po jego zaginięciu i w jaki sposób mogło dojść do przestępstwa, skoro złodziej posługiwał się oryginalnymi kluczami od auta?

Właściciel Mercedesa Kazimierz D. tłumaczył się, że drugi komplet kluczy zgubił, a zniknięcie samochodu zauważył dopiero po kilku dobach. O ile w to drugie można jeszcze było uwierzyć, to sprawa z zapasowym kluczykiem była już wielce podejrzana. Prawdopodobieństwo, że jego znalazca trafiłby

na właściwy samochód w aglomeracji śląskiej było jak jeden do miliona, tym bardziej że z obudowy nie można było odczytać nic więcej ponadto, że pasował do konkretnej marki, a nie do modelu. Kazimierz D. również zaprzeczył, jakoby znał Rafała H., Remika bądź Rudego, a także stwierdził kategorycznie, iż kluczyk nie zniknął z jego domu i nie mógł go zabrać nikt ze znajomych.

Według wersji właściciela, stracił on zapasowy kluczyk podczas drogi powrotnej od mechanika. Jasny był jedynie związek Remika z H., który wcześniej obserwował skradzionego Mercedesa i prawdopodobnie sprawdzał, czy kluczyk do niego pasował, ale wątpliwości budził fakt, iż W. dopasował go do samochodu wybranego tylko z trzech w okolicy, podczas gdy tylko w samym sąsiedztwie było siedem aut tego typu. Dla śledczych nie ulegało wątpliwości, że Kazimierz D. kłamał lub coś ukrywał. Wyraźnie przestraszył się na wieść, że jego samochód był obserwowany i dopytywał, w jakiej sprawie.

★ ★ ★

Kilka dni po zgłoszeniu kradzieży samochodu przez D. – 12 maja 2005 roku – znaleziono zwłoki Rafała H. Został zastrzelony, a przed śmiercią był torturowany. Na jego ciało natrafił przypadkowy kierowca, podróżujący trasą A1 z Katowic do Częstochowy. Zwłoki były przykryte kurtką, leżały w krzakach przy zjeździe z trasy na leśnym odcinku. H. miał rany postrzałowe nóg i jedną głowy, która była bezpośrednią przyczyną śmierci. Na jego ciele znajdowały się także ślady brutalnego pobicia. Sprawca ewidentnie próbował uzyskać przed zabójstwem jakieś informacje od ofiary. Samochodu ani zapasowego kluczyka jednak przy nim nie odnaleziono.

15 maja podczas obserwacji mieszkania Remika, funkcjonariusze zauważyli podejrzanych osobników pod jego blokiem. Czterech potężnie zbudowanych mężczyzn przybyło czarnym BMW na białoruskich tablicach rejestracyjnych. Obserwatorzy natychmiast wezwali posiłki na miejsce, sądząc, iż za chwilę Mieczysław W. mógłby stać się ofiarą przestępstwa. Policjanci dotarli pod jego dom na czas.

Przybysze zza wschodniej granicy wyłamały drzwi w jego mieszkaniu i gdy funkcjonariusze weszli do środka, W. był podtapiany przez nich w wannie. Mężczyzna trafił na krótko do szpitala, a Białorusini do aresztu. Marian G. nie spodziewał się, że któryś z nich będzie zeznawał. Miał dużo więcej oczekiwań w stosunku do Remika, który po tej brutalnej napaści bardzo zmiękł. Twierdził, iż nie znał napastników. Nie wiedział także o śmierci Rafała H. Poinformowany o tym fakcie załamał się i zdecydował na współpracę.

Z jego zeznań wynikało, iż podczas włamania do sklepu w 2002 roku skradli kasetkę, w której zamiast pieniędzy znaleźli kluczyki od samochodów i kartkę z adresami, które odpowiadały właścicielom

aut. Rudy postanowił przy pomocy Rafała H. skraść samochody i przemieścić je za wschodnią granicę, gdzie miał na nich nabywców. Marian G. uznał, iż Remik mówił prawdę, gdyż jego wersja tłumaczyła fakt, dlaczego nie podjęli łupu po włamaniu. W dalszej kolejności pod lupę został wzięty właściciel okradzonego sklepu, który twierdził, że w kasetce znajdowało się 10 tys. złotych. Zatrzymany Bogumił R. w dalszym ciągu utrzymywał, iż włamywacze zabrali pieniądze z jego sklepu, a o żadnych kluczykach od aut nie wiedział. Szybko okazało się jednak, że R. kłamał, a wersja Remika potwierdziła się.

Po sprawdzeniu żony Bogumiła R. – Aleksandry z domu J. – okazało się, iż była siostrą Przemysława J., który był wcześniej notowany za kradzieże samochodów. Policja przez kilka dni nie mogła ustalić miejsca pobytu mężczyzny, co spowolniło śledztwo w sprawie. Według Remika, przypadkowo natrafili na kluczyki od samochodów, bowiem liczyli na łup w postaci gotówki. Jednak ku ich zdziwieniu w kasetce zamiast niej znajdowało się szesnaście kompletów kluczyków. Niestety kartkę z adresami miał w posiadaniu Rafał H., a przy jego zwłokach jej nie znaleziono. Również zatrzymani Białorusini nie mieli jej ze sobą. Pozostałe kluczyki były nadal w kasetce, ukrytej w przewodzie wentylacyjnym w mieszkaniu Remika. Adresy były spisane chaotycznie. Nie było możliwości odnalezienia jakiegokolwiek analogii prowadzącej do przyporządkowania danego kompletu do miejsca parkowania samochodu. Policja po skonfiskowaniu kasetki rozpoczęła poszukiwania właścicieli aut, na podstawie numerów seryjnych podanych przez autoryzowane serwisy, które odczytywały go z kluczyka przypisanego do konkretnego auta. Okazało się, że dwa z samochodów zostały już skradzione, ale co ciekawe w styczniu i w lutym 2002 roku, czyli przed włamaniem do sklepu Bogumiła R. To oznaczało, iż Rudy i Remik nie mieli z tymi kradzieżami nic wspólnego.

Właściciele BMW i Jeepa otrzymali odszkodowania ze swoich polis. Marian G. próbował dotrzeć do akt tamtych spraw, ale kwestie zapasowych kluczyków nie figurowały w zeznaniach poszkodowanych. Co było bardzo zaskakujące, gdyż także firmy ubezpieczeniowe nie wyszczególniły kwestii brakującego drugiego kompletu, co normalnie w takich przypadkach utrudniało bądź uniemożliwiało wypłatę odszkodowania.

Przemysław J. wpadł w ręce policji dopiero 11 czerwca. Był bardzo zaskoczony faktem, iż był poszukiwany przez organy ścigania. On również twierdził, iż nie wiedział nic o kluczykach samochodowych ze skradzionej kasetki ze sklepu szwagra. W końcu mężczyźni zrozumieli, że znaleźli się w pułapce, gdyż prokurator zarządził nakaz tymczasowego aresztowania wobec obu. Właściciele aut, których adresy były w kasetce z łupem nie przyznali, iż zdeponowali komukolwiek swoje kluczyki od aut. Wszyscy zgodnie twierdzili, iż zgubili

je. Prokuratura założyła w toku dochodzenia, że Przemysław J. obserwował samochody i czyhał na błąd właściciela, by skraść mu kluczyki. Na podstawie zebranych dowodów nie można było oskarżyć właścicieli pojazdów o współpracę ze złodziejem. Auta należały w większości do wpływowych ludzi, którzy uciekali się do nieuczciwych metod, by utrudnić śledztwo przeciwko nim.

★ ★ ★

Starszy aspirant prowadzący śledztwo zastanawiał się wówczas, w jaki sposób zamożni i wykształceni ludzie weszli w znajomość z przestępcą, jakim był Przemysław J.? Pierwsza hipoteza zakładała, że mogli oni być klientami sklepu Bogumiła R., ale była ona mało prawdopodobna, ze względu na duże odległości pomiędzy sklepem a niektórymi z właścicieli aut. Mało kto dojeżdżałby do sklepu monopolowego nawet 16 kilometrów, mając kilkanaście takich w pobliżu. Wówczas Marian G. skojarzył pewną prawidłowość. Na przesłuchania właściciele samochodów przyjeżdżali zawsze w towarzystwie drugiej osoby. Trzech z nich musiało posługiwać się kulami, a jeden laską. Ci, którzy nie mieli problemów z poruszaniem się, potrzebowali pomocy osoby towarzyszącej przy zdjęciu płaszcza lub wchodzeniu po schodach. Owo spostrzeżenie było bardzo cenne w związku z faktem, że siostra przestępcy Aleksandra R. prowadziła w Katowicach prywatny gabinet fizjoterapii.

Policja nie miała dowodów łączących Aleksandrę R. z bratem i osobami z listy w kasetcie, ale starszy aspirant G. postanowił pójść tym tropem i uderzyć w najłabszy punkt rodzinnego tercetu, czyli Bogumiła R. Ten wyjątkowo źle znosił pobyt w areszcie, poniewierany przez współwięźniów. Mężczyzna zastraszone widmem uwięzienia swojej małżonki, zdecydował się zeznawać i nakłonić Aleksandrę do współpracy. Oboje zeznali, że Przemysław J. nawiązywał kontakt z właścicielami samochodów przez siostrę. Przy użyciu zapasowego kluczyka zabierał samochód i wywoził go na Białoruś, skąd dalej trafiał do Rosji. Przywoził z powrotem kluczyk właścicielowi, a ten mógł wówczas zgłosić kradzież na policję i otrzymać pieniądze z polisy. Proceder był sprytnym rozwiązaniem dla posiadaczy używanych, luksusowych samochodów, które było trudno sprzedać.

★ ★ ★

Aleksandra i Bogumił R. w zamian za współpracę otrzymali wyroki w zawieszeniu – trzy lata pozbawienia wolności i rok. Właściciele aut za próbę wyłudzenia polisy, także w kolejnych procesach usłyszeli wyroki skazujące w wysokości od roku do dwóch w zawieszeniu. Do więzienia na dwa lata trafił Przemysław J., podobnie jak Mieczysław W., pseudonim Remik. Niewyjaśniona w sprawie została rola przestępców z Białorusi.



W toku śledztwa policji nie udało się ustalić, na czyje polecenie działali. Najbardziej prawdopodobna hipoteza zakłada, że byli to tajemniczy odbiorcy samochodów, zapoznani przez Rudego i Rafała H. Ten ostatni nie wywiązał się z przywiezienia obiecanej liczby samochodów na czas i został zamordowany. Jednak prokuratura nie znalazła dowodów na udział Białorusinów w zabójstwie H. Remik nie zdecydował się na zeznawanie przeciwko nim, dlatego zostali zwolnieni z aresztu. ■

Konrad Szymalak

Dane personalne zostały zmienione.

GOTOWI NA Karol REBS WSZYSTKO

Przestępcy często są ludźmi, których na manowce prawa przywiodła chęć prowadzenia łatwego życia i zarabiania pieniędzy bez większego trudu. Nie chciał sobie brudzić rączek, więc zamiast iść do pracy, wolał kraść i oszukiwać – mówimy. Nie należy jednak generalizować. Wśród osób łamiących prawo można znaleźć i takie, które dla zrealizowania swoich niecznych celów, gotowe są bez mała na wszystko. Przedstawiamy dwie takie historie.



Przebierańcy w banku

Trzej nobliwie wyglądający panowie w średnim wieku sprawiali wrażenie wiarygodnych i solidnych przedsiębiorców. Mówili, że chcą inwestować w rozwój firmy. W niedalekiej przyszłości miało to zaowocować nie tylko wzrostem ich osobistych zysków jako właścicieli przedsiębiorstwa, ale przyczynić się także do spadku bezrobocia w regionie. Jako lokalni patrioci zamierzali bowiem zatrudnić osoby miejscowe.

– Realizacja tego ambitnego i społecznie słusznego projektu nie jest jednak możliwa bez potężnego zastrzyku środków finansowych – stwierdzili i zwrócili się do banku o udzielenie kredytu.

Na bankowcach tego rodzaju gadki nie robią już większego wrażenia. Mają obowiązek sprawdzenia potencjalnych kredytobiorców pod względem zdolności do spłaty zaciągniętych zobowiązań finansowych. W przypadku firmy należącej do Sławomira W., Zbigniewa M. i Tadeusza J. działania sprawdzające zostały przeprowadzone

bardzo szczegółowo i wnikliwie, chodziło bowiem o kredyt w wysokości 200 tysięcy zł. Bankowcy zrobili co do nich należało, ale nie mogli się do niczego przyczepić. Firma WMJ działała w branży budowlanej od ponad trzech lat. Zajmowała się m.in. wypożyczaniem maszyn, używanych przez drogowców. Księgowość prowadzona była bardzo dokładnie i w sposób przejrzysty. Żadnych lewych faktur, żadnych tajemniczych przychodów i rozchodów. Po prostu wzór do naśladowania dla innych. Również wspomniani trzej panowie mogli świecić przykładem. Nigdy nie mieli na pieńku z wymiarem sprawiedliwości ani z urzędem skarbowym. Ani grosza długu. Czynnosc za wynajmowane magazyny też płacili bez ociągania. W tej sytuacji zdecydowano, że trzeba przedsiębiorcom pomóc w rozkręceniu firmy, udzielając im kredytu.

★ ★ ★

Sławomir W., Zbigniew M. i Tadeusz J. nie byli żadnymi biznesmenami. Dwaj pierwsi to bezrobotni mieszkańcy województwa kujawsko-pomorskiego. Natomiast pochodzący z K. na Lubelszczyźnie Tadeusz J. jeździł bagażową taksówką. To chyba jednak za mało, żeby mówić o sobie „przedsiębiorca”.

Trzej panowie przyjaźnili się od dawna. Pewnego dnia wpadli na pomysł wyłudzenia dużych sum pieniędzy. W ciągu siedmiu miesięcy wyprowadzili z kilku banków ponad 2 miliony złotych. Przystępczy proceder, który polegał na zaciąganiu w bankach kredytów i zawieraniu umów leasingu zwrotnego, rozpoczęli w lutym 2013 roku. Jednak jak wynika z ustaleń policji i prokuratury, przygotowania do oszustw rozpoczęli już w 2011 roku.

– Teraz w bankach dokładnie prześwietlają kredytobiorców. Musimy więc być ostrożni, a przede wszystkim sprawiać wrażenie wiarygodnych i wypłacalnych biznesmenów – powiedział jeden z oszustów, przedstawiając kompanom szczegóły planu. Plan został w pełni zaakceptowany. W myśl zasady „żeby wyjąć, trzeba najpierw włożyć” – panowie nie szczędzili własnych środków na działania maskujące ich prawdziwe zamierzenia.

Pierwszym krokiem było zawarcie znajomości z mieszkańcem Lublina, któremu groziła eksmisja z zajmowanego mieszkania, ponieważ nie płacił komornego. – Zagrajmy w otwarte karty – powiedzieli do mężczyzny. – Pomożemy ci i częściowo spłacimy twoje długi, ale ty w zamian musisz nam oddać pewną przysługę.

Chodziło o jego dane osobowe, którymi zamierzali się posłużyć w banku, wnioskując o udzielenie kredytu i przy zawieraniu umowy leasingu zwrotnego. Zadłużony lublinianin miał więc być tzw. słupem. Przystąpił na tę propozycję. Rzecz jasna oszuści nie wtajemniczali go w szczegóły operacji.

Potem przystąpili do kolejnego etapu przygotowań. Na nazwisko „słupa” zarejestrowali firmę

budowlaną, zajmującą się m.in. wypożyczaniem sprzętu budowlanego. W jednej z podlubelskich miejscowości wynajęli magazyny, zatrudnili jednego pracownika, oraz regularnie płacili czynsz i podatki. Nikt nawet nie domyślał się prawdziwego celu tych przedsięwzięć. Nikt nie zaglądał do pomieszczeń magazynowych firmy, gdzie, jak się potem okazało, zamiast drogich maszyn stały puste pudełka i kartony.

★ ★ ★

Pierwszego oszustwa dokonali 8 lutego 2013 roku. Do jednego z banków wszedł Sławomir W. Poinformował, że zamierza zaciągnąć kredyt na rozwój przedsiębiorstwa. Jednakże wylegitymował się nie swoimi dokumentami tożsamości, lecz sfałszowanymi. Dowód osobisty i prawo jazdy, które okazał pracownikom obsługi kredytowej, były wystawione na imię i nazwisko zwerbowanego do współpracy „słupa”. Nikt nie domyślił się kantu. Sławomir W. przedstawił też nieprawdziwą dokumentację dotyczącą prowadzenia działalności gospodarczej i nieprawdziwą historię rachunku bankowego.

Przestępcy zdawali sobie sprawę, że oszustwo w niedługim czasie wyjdzie na jaw, dlatego też W. zmienił swój wygląd. Przyszedł do banku w peruce. Wprawdzie niemiłosiernie się pocił, ale wysiłek nie poszedł na marne. Pracownicy banku nie zorientowali się, że mają do czynienia z przebierańcem. Na fotografiach w przedstawianych bankowcom dokumentach tożsamości, mężczyzna był podobnie ucharakteryzowany. W ten sposób oszukańcza firma wyłudziła 200 tysięcy zł.

W ciągu następnych paru miesięcy przeprowadzili jeszcze kilka podobnych „akcji”, wyłudzając przeszło 2 miliony zł. Zaciągali nie tylko lipne kredyty, ale także zawierali umowy leasingu zwrotnego z bankami pod zastaw ładowarko-koparek. Okazało się, że te same dwie koparki wykorzystywali kilkakrotnie do zawarcia umowy leasingu zwrotnego, zmieniając jedynie numery sprzętu budowlanego.

★ ★ ★

Wkońcu jednak powinęła im się noga. Zgubiła ich brawura. Oszukane banki zgłosiły się na policję. Pracownicy, którzy mieli do czynienia ze Sławomirem W., podali rysopis mężczyzny oraz dane, którymi posługiwał się, wnioskując o kredyty. Ostrzegali przed tym osobnikiem swoich kolegów z innych banków.

24 września 2013 roku szajka postanowiła zawrzeć lipną umowę leasingową na ponad 600 tys. Do jednego z lubelskich banków znowu przyszedł Sławomir W. Na głowie miał szpakowatą perukę. Dane, które widniały w jego dokumencie tożsamości, były takie same jak człowieka, który w ciągu ostatnich miesięcy wyłudził z kilku banków



duże sumy pieniędzy. Powiadomiono policję, która zjawiła się w banku incognito. Oszust został zatrzymany przed okienkiem bankowym, gdy czarował pracownicę opowiastkami o podróżach do zamorskich krajów, jakie rzekomo odbył w ostatnich miesiącach. Był tak zaskoczony, że nawet nie próbował protestować. Chwilę później w ręce policji wpadli też Zbigniew M. i Tadeusz J., którzy czekali na swojego kompana w samochodzie, zaparkowanym nieopodal banku. Zabezpieczono przy nich podrobione dokumenty. Cała trójka trafiła do aresztu.

Prokuratura postawiła im zarzuty usiłowania wyłudzenia 602 tysięcy zł w formie umowy leasingowej, a Sławomirowi W. dodatkowo zarzuty wyłudzenia kredytu bankowego w kwocie 200 tysięcy zł. W sprawie pozostałych wyłudzeń toczy się odrębne postępowanie. Policja wyjaśnia ponadto, w jaki sposób oszuści weszli w posiadanie ładowarko-koparek, pod zastaw których zawierali umowy leasingu zwrotnego. Sprawa ma charakter rozwojowy; nie można wykluczyć, że zarzuty zostaną przedstawione większej liczbie podejrzanych. Tylko Sławomir W. przyznał się do postawionych mu zarzutów. Jego koledzy utrzymują, że są niewinni.

Ten przeklęty rosół!

Na jeszcze większe poświęcenie zdecydowali się bohaterowie tej historii. Ich próby wejścia w posiadanie wielkiego szmalu okupione zostały potwornym bólem i trwałym oszpeceniem ciała. Ale i tak celu nie osiągnęli, a za próbę oszustwa przyjdzie im zapłacić.

42-letni Grzegorz F. był przedsiębiorcą, dużo pracował i podróżował w interesach, m.in. na Bliski Wschód, gdzie od lat panuje niepewna sytuacja polityczna, dochodzi do zamachów bombowych i porwań. Prowadząc tak aktywny tryb życia uznał, że jest w większym stopniu niż np. urzędnik nara-

żony na różnego rodzaju nieszczęśliwe wypadki losowe.

W związku z tym Grzegorz F. postanowił ubezpieczyć się od następstw takich zdarzeń. W ciągu roku wykupił aż 12 polis w kilkunastu towarzystwach ubezpieczeniowych z całej Polski.

We wrześniu 2010 roku mężczyzna pojawił się w jednym z nich z wnioskiem o wypłatę odszkodowania. Uległ bowiem pechowemu wypadkowi. Bynajmniej nie podczas podróży do krajów arabskich. Zaprosił do domu znajomych na wspólne oglądanie wesela na wideo. Spodziewał się, że goście siedząc przez kilka godzin przed telewizorem porządnie zgłodnieją, więc pomyślał, żeby ich nakarmić. Dzień wcześniej ugotował rosół.

– Chciałem przelać zupę do talerzy, ale garnek wyślizgnął mi się z ręki. Wrzący rosół wylał się, parząc mnie w brzuch i nogi. Ból był okropny, wskoczyłem do wanny, żeby ochłodzić poparzone miejsca, ale niewiele to pomogło. Potem długo musiałem się leczyć – opisywał traumatyczne przeżycie.

Zdarzenie, choć niecodzienne, nie wzbudziło w pracownikach towarzystwa ubezpieczeniowego podejrzeń, że klient chce wyłudzić odszkodowanie. Wszak wypadki chodzą po ludziach. A facet dołączył do wniosku zaświadczenie lekarskie, z którego wynikało, że naprawdę poparzył się rosółem w podanych przez niego okolicznościach. Dodatkowo przedstawił zdjęcia zranionego brzucha. Wszystko wyglądało na autentyczne. Nieco dziwić mógł krótki – zaledwie kilkutygodniowy – odstęp czasu między wykupieniem przez Grzegorza F. polisy a wypadkiem. Ostatecznie jednak i takie rzeczy się zdarzają. Ubezpieczyciel nie miał do czego się przychylić i zmuszony był wypłacić beneficjentowi kilkadziesiąt tysięcy złotych odszkodowania.

★ ★ ★

Jeden raz to przypadek, dwa razy to zbieg okoliczności, trzy razy to wrogie działania, a ponad sześćset razy to musi być robota jakiegoś starożytnego sumeryjskiego demona, albo inne gówno – stwierdził Ian Fleming, autor książek o przygodach Jamesa Bonda.

Oszustwo prawdopodobnie nie wydałoby się, gdyby numer z wrzącym rosółem nie został wielokrotnie powtórzony. Jednak i tym razem pazerność oraz brawura okazały się najlepszymi pomocnikami organów ścigania. W ciągu kilkunastu miesięcy do towarzystw ubezpieczeniowych m.in. w Lublinie, Warszawie i Łodzi nieomal masowo zaczęły napływać wnioski o wypłatę odszkodowań z tytułu następstw nieszczęśliwych wypadków. Nie była to robota starożytnego sumeryjskiego demona, ale sprytniej grupy osób, wyłudających odszkodowania.

Już sama liczba takich zgłoszeń była zastanawiająca i wzbudzała podejrzania, że coś tu nie

gra. Ale jeszcze bardziej przebieg wypadków, którym ulegali ubezpieczeni oraz charakter ich obrażeń. Zawsze dochodziło do poparzeń rosołem lub inną zupą w trakcie zdejmowania garnka z kuchenki. Poparzenia obejmowały zwykle ręce, brzuch i nogi. O odszkodowania występowały osoby, które niedawno, najdalej przed paroma miesiącami, ubezpieczyły się na wysoką sumę od następstw nieszczęśliwych wypadków. Pracownicy towarzystw ubezpieczeniowych, informując się wzajemnie o tych zastanawiających przypadkach, odkryli jeszcze jedną znamioną prawidłowość – wśród poparzonych i występujących o odszkodowania przewijały się te same nazwiska! W tej sytuacji powiadomiono policję, która przeprowadziła w tej sprawie dochodzenie. Potwierdziło ono podejrzenia firm ubezpieczeniowych. Miały one do czynienia nie z prawdziwymi poszkodowanymi w nieszczęśliwych wypadkach, ale ze sprytnymi oszustami.

Poparzenia były autentyczne, natomiast okoliczności, w jakich do nich dochodziło, już nie. Mechanizm oszustwa był dość prosty, choć od naciągaczy wymagał z pewnością dużej odporności na ból...

Działali oni w grupie. Tworzyli ją: wspomniany Grzegorz F., 40-letni Witold R. (również przedsiębiorca), 37-letni Krzysztof Z. (restaurator, właściciel pubu), 25-letni Tomasz S. (zaopatrzeniowiec) i 47-letni Sylwester A. (taksówkarz). Nie wiadomo, który z nich wpadł na pomysł wyłudzenia w ten sposób odszkodowań. Przystępny proceder rozpoczęli przed czterema laty. Każdy z mężczyzn oddzielnie podpisywał umowy z towarzystwami ubezpieczeniowymi. W razie nieszczęśliwego wypadku zawarcie umowy było podstawą do wypłaty odszkodowania przez ubezpieczyciela.

Po podpisaniu umowy i wykupieniu polisy, celowo powodowali u siebie poparzenia, m.in. brzucha oraz kończyn dolnych i górnych poprzez polanie ich wrzątkiem lub substancjami, które powodują takie obrażenia. Obolali, sycząc z bólu, udawali się do szpitala na leczenie. – Miałem wypadek, oblałem się gorącym rosołem – tłumaczyli przyczyny i okoliczności poparzenia się. Lekarze wpisywali te informacje do kart chorobowych, nie podejrzewając, że pacjenci wykorzystują je w celu wyłudzenia odszkodowań.

– Nigdy nawet nie przyszłoby mi to do głowy, że dla pieniędzy można coś takiego zrobić – mówił w śledztwie jeden z lubelskich lekarzy.

Oszuści przedstawiali zaświadczenia lekarskie w towarzystwach ubezpieczeniowych i na tej podstawie domagali się wypłaty odszkodowania. Ponieważ z formalnego punktu widzenia wszystko zdawało się być w porządku, firmy ubezpieczeniowe nie miały innego wyjścia, jak wywiązać się z zawartej umowy.



Prokuratura zarzuciła Grzegorzowi F., że w 2010 roku wyłudził z 13 towarzystw ubezpieczeniowych kwotę ponad 100 tys. zł. Dwie inne firmy próbował naciągnąć na 200 tys. zł. Z kolei Witold R. miał wyłudzić w 2011 roku 76 900 zł z trzech towarzystw ubezpieczeniowych, a ponadto usiłował wyłudzić 960 000 zł z sześciu innych. Spore „osiągnięcia”, według prokuratury, miał też właściciel pubu, czyli Krzysztof Z. Jako jedyny z piątki mężczyzn poparzył się aż dwukrotnie. Za pierwszym razem, w 2009 roku, wyłudził 111 tys. zł z czterech ubezpieczalni. W 2010 roku powtórzył „numer”, a cztery towarzystwa ubezpieczeniowe wypłaciły mu ponad 50 tys. zł. Uznał, że to za mało, więc próbował wyłudzić dodatkowo 250 tysięcy zł z dwóch innych firm odszkodowawczych. Tomasz S. i Sylwester A. nie byli aż tak operatywni. Pierwszy z mężczyzn oszukał towarzystwa ubezpieczeniowe na kwotę 11 tys. zł, natomiast drugi na 7,3 tys., choć obaj próbowali wyłudzić po 1 milionie zł.

Na ławie oskarżonych zasiadła też jedna kobieta. Katarzyna Cz. sama nie poparzyła się, utrzymywała natomiast, że od gorącego rosołu, którym oblał się Witold R., znacznemu uszkodzeniu uległy meble w jej mieszkaniu (mężczyzna był wtedy u niej). Wyłudziła z towarzystwa ubezpieczeniowego 130 tysięcy zł. Kobieta odpowie za to przed sądem.

Proces „poparzonych” niedawno się rozpoczął. Nikt z oskarżonych nie przyznaje się do winy. Utrzymują, iż naprawdę ulegli wypadkom. Owszem, może i wygląda to dziwnie, że kilka osób doznało poparzeń nieomal w identycznych okolicznościach, ale nie można wykluczyć, że zdarzenia takie miały jednak miejsce. Nie ma przekonujących dowodów, że dopuścili się wspomnianych przestępstw.

Opinie biegłych w zakresie poparzeń mówią co innego. Do przypadków takich dochodziło w bardzo

dokończenie na str. 62.

ZABÓJSTWO

Jarosław SZKLAREK

POLLY KLAAS

Ta zbrodnia do dziś wywołuje olbrzymie emocje u wielu mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Była ładną i mądrą dziewczynką, która miała przed sobą całe życie. Niestety, nie było jej dane

dorosnąć, ponieważ w wieku dwunastu lat została uprowadzona ze swojego domu, a następnie zamordowana przez człowieka, który nigdy nie wyjawił powodów, jakie nim wtedy kierowały.



Polly Hannah Klaas urodziła się 3 stycznia 1981 roku w Fairfax, w stanie Kalifornia. Była jedynym dzieckiem Marca i Eve Klaasów. Jej rodzice rozwiedli się, gdy dziewczynka miała zaledwie dwa i pół roku. Pomimo nieudanego małżeństwa, para rozstała się w zgodzie i oboje pozostali przyjaciółmi. Eve wyrokiem sądu dostała opiekę nad dzieckiem i nigdy nie zabraniała Marcowi odwiedzać córki. W następnych latach Eve i Polly często przeprowadzały się, przez co dziewczynka była nieśmiała i miała problemy z nawiązywaniem przyjaźni. Jej matka wyszła ponownie za mąż za mężczyznę o nazwisku Allan Nichol, który miał troje dzieci z poprzedniego małżeństwa.

W 1987 roku na świat przyszło ich wspólne dziecko, dziewczynka imieniem Annie. Polly dobrze dogadywała się z przyrodnim rodzeństwem i młodszą siostrą, ale nie potrafiła znaleźć wspólnego języka ze swoim ojczymem i czasami dochodziło między nimi do kłótni. Gdy któraś z pozostałych dzieci kwestionowało jego autorytet, Allan Nichol oskarżał je o naśladowanie krnąbrnego zachowania Polly.

Dziewczynka lubiła aktora Mela Gibsona i futbolistę Joego Montanę. Zdjęcie tego drugiego miała przypięte na ścianie w swoim pokoju. Zczytywała się również w komiksach Archie i książkach Judy Blume. Do jej ulubionych przysmaków należały popcorn i desery lodowe. Polly miała też dwa koty, które wabiły się Spooky i Milo. Chociaż z natury była raczej zamknięta w sobie, to jednak drzemał w niej talent dramatyczny i często brała udział w szkolnych przedstawieniach. Interesowała się również muzyką i aktywnie działała w szkolnym zespole muzycznym. Odznaczała się także dużym poczuciem humoru i lubiła płatać figle różnym ludziom.

Utrzymywała bliskie relacje z dziadkami ze strony ojca, którzy zabierali ją na wycieczki do takich miejsc jak Meksyk czy Park Yellowstone. Większą część wakacji oraz każdy weekend spędzała natomiast ze swoim ukochanym tatą, Markiem Klaasem, który prowadził biuro wypożyczalni samochodów w San Francisco. Oboje byli ze sobą bardzo zżyci. Wkraczając w wiek nastoletni, Polly była ładną, brązowooką dziewczynką, miała jasną karnację z dołeczkami w policzkach i ciemne falowane włosy opadające jej na ramiona. Przez całe życie bała się ciemności. Nie mogła zasnąć, jeśli nie paliła się lampka w jej pokoju. Obawiała się tajemniczego straszdyła, które mogłoby ją porwać. Ten problem często poruszała w rozmowach z rodzicami. Marc Klaas zawsze wtedy zapewniał córeczkę, że wszystko będzie dobrze i nigdy nie pozwoli, aby stało się jej coś złego.

Mając dwanaście lat Polly Klaas przeniosła się wraz z matką i młodszą siostrą Annie do miasta Petaluma w Kalifornii. Eve Nichol była wówczas w separacji z drugim mężem. Kobieta i dziewczynki mieszkały w skromnym niebieskim domu położonym blisko centrum miasta. To właśnie tam, 1 października 1993 roku, zorganizowano domową imprezę z noclegiem dla dzieci. Gośćmi Polly były jej dwie najlepsze przyjaciółki, Kate McLean i Gillian Pelham. Wszystkie

trzy uczęszczały do tej samej szkoły, Petaluma Junior High. Oprócz tego należały także razem do szkolnego zespołu muzycznego, w którym grały na klarncie.

Podczas przyjęcia dziewczynki bawiły się znakomicie. Po kolei przymierzały czapkę Myszy Miki i nakrycie głowy przypominające poroże jeleni. Następnie zaczęły się wyglupy z makijażem. Polly umalowała swoją twarz białym pudrem i czarną szminką, aby wyglądać jak upiór, ale potem zmyła ten makijaż. Później kilka osób przypomniało sobie, że widziało dobrze zbudowanego, brodatego mężczyznę z krzaczastymi siwymi włosami kręcącego się na chodniku w pobliżu domu Polly. Nie robił wtedy niczego podejrzanego i mógł być zarówno włóczęgą, jak również zwykłym człowiekiem, który po prostu wybrał się na wieczorny spacer.

Dziewczynki tymczasem chichotały i grały w grę planszową o nazwie „Perfect Match”, kiedy Polly zdecydowała, że nadszedł czas, aby przynieść śpiwory jej koleżanek z salonu. Otworzyła drzwi do sypialni i zobaczyła umiśnionego mężczyznę w średnim wieku, który trzymał nóż w ręku. Nieznajomy natychmiast rozkazał im: – „Nie krzyczcie, albo poderżnę wam gardła!” Przerazone dziewczynki milczały więc jak zakłete. „Kto tu mieszka?” – zapytał mężczyzna. „Ja” – odparła Polly. „Robię to tylko dla pieniędzy” – powiedział intruz. Polly zaoferowała mu pudełko z 50 dolarami w gotówce, ale on odmówił. Następnie kazał trzem dziewczynkom położyć się na podłodze, po czym związał im ręce za plecami, a na ich głowy założył poszewki na poduszki. „Nie zrobię wam krzywdy” – zapewnił je. „Robię to tylko dla pieniędzy” – powtórzył. „Proszę, nie krzywdź mojej mamy i siostrzyczki” – błagała płacząc Polly. Nieznajomy wybrał dwunastoletnią Polly i powiedział do jej przyjaciółek, aby policzyły do tysiąca, zanim zaczną robić cokolwiek. Potem wyszedł razem z Polly z jej domu. Gillian i Kate nie traciły czasu na liczenie. Próbowaly uwolnić się z więzów, aż w końcu udało im się osiągnąć ten cel. O 22:45 oszałamane z przerażenia dziewczynki obudziły Eve Nichol i powiedziały jej, co się stało. Matka niezwłocznie zatelefonowała na policję.

Poszukiwania

Wkrótce w okolicy, w której doszło do porwania, zaroilo się od funkcjonariuszy. Do wszystkich wozów patrolowych, w których częstotliwość radiostacji była ustawiona na kanał 1 podano rysopis wysokiego, brodatego, białego mężczyzny ubranego na czarno. Około północy tamtego strasznego wieczoru, na obszarze położonym zaledwie 25 mil od domu Polly, Dana Jaffe zadzwoniła na policję, aby złożyć skargę na intruza, który wtargnął na teren jej własności. Do zbadania tej sprawy wysłano dwóch zastępców szeryfa, Michaela Rankina i Thomasa Howarda. Funkcjonariusze nic nie wiedzieli o porwaniu dziewczynki, ani też nie słyszeli o rysopisie porwacza, ponieważ w ich okręgu używano kanału 3 do przyjmowania zgłoszeń. Po przybyciu we wskazane miejsce, zastępcy szeryfa spotkali Richarda Allena



Davisa, którego białe Pinto utknęło w rowie na drodze prowadzącej do małego domu Dany Jaffe. Potężny mężczyzna był brudny, miał gałązki w gęstych włosach i pocił się obficie, chociaż noc wcale nie była upalna. Ciągłe wycierał pot z czoła rękawem koszuli. Nie wydawał się jednak zdenerwowany ani pobudzony.

– Co pan tu robi? – zapytali go. „Zwiedzam” – odpowiedział im spokojnym tonem. Okolica była jednym wielkim pustkowiem, a na dodatek było już ciemno, toteż policjanci przyjęli tę odpowiedź dość sceptycznie. Davis nonszalancko wyjął puszkę piwa z pustego do połowy sześciopaka w swoim samochodzie, otworzył ją, po czym zaczął przy nich sączyć złocisty trunek. Funkcjonariusze powiedzieli mężczyźnie, żeby przestał pić, więc Davis rzucił puszkę w pobliskie krzaki. Wówczas zastępcy szeryfa nakazali mu, aby podniósł ją z ziemi, bo inaczej oskarżą go o zaśmiecanie środowiska. Następnie Rankin i Howard sprawdzili w bazie danych numer jego prawa jazdy i tablicę rejestracyjną samochodu, ale oba były bez zarzutu.

Gdyby jednak pokusili się wtedy o wgląd w przeszłość mężczyzny w rejestrze skazanych, to wówczas okazałoby się, że mają do czynienia z człowiekiem, który był wcześniej karany za rozbój, włamanie, napaść i porwanie, a także miał za sobą długą listę

aktów stosowania przemocy wobec kobiet. Co więcej, dowiedzieliby się również, że Davis był aktualnie na zwolnieniu warunkowym i właśnie naruszył jego zasady. Policjanci zapytali Danę Jaffe czy chce, aby mężczyzna został aresztowany za wkroczenie na teren jej własności, ale kobieta odparła im, żeby tylko przepędzili go stamtąd. Rankin i Howard pomogli więc Davisowi wydostać jego samochód, który utknął w rowie, po czym puścili go wolno.

W poszukiwania dziewczynki zaangażowało się blisko cztery tysiące ludzi. Zdjęcia Polly i rysopis jej porywacza rozwieszano na ulicach, stacjach benzynowych oraz w centrach handlowych. Jeden z odcinków popularnego amerykańskiego programu telewizyjnego „America's Most Wanted” został w całości poświęcony tej sprawie. Policjanci z psami tropiącymi przeczesywali okolice, aby znaleźć choćby mały ślad, który mógłby doprowadzić ich do dziewczynki, ale wszystko bez skutku. Na znak jedności z rodziną uprowadzonej dwunastolatki mieszkańcy miasta Petaluma rozwiesili mnóstwo fioletowych wstążek, ponieważ fioletowy był ulubionym kolorem Polly. Standardowo w takich przypadkach poddano badaniu wariografem rodziców dziewczynki, Eve Nichol i Marca Klaasa, ale oboje po ich przeprowadzeniu zostali wykluczeni jako podejrzani. Aktorka Winona Ryder przeznaczyła 200 tysięcy dolarów na nagrodę dla osoby, która przyczyni się w największym stopniu do odnalezienia Polly całej i zdrowej.

19 października 1993 roku Richard Allen Davis został aresztowany za jazdę pod wpływem alkoholu. Nikt jednak nie zauważył jego podobieństwa do rysopisu porywacza Polly i po niecałych pięciu godzinach spędzonych w areszcie mężczyzna wyszedł na wolność. 28 listopada Dana Jaffe razem z dwiema przyjaciółkami spacerowała wokół swojej posesji, kiedy nagle zwróciła uwagę na kilka rzeczy leżących nieopodal w zaroślach. Gdy kobiety podeszły bliżej, ujrzały ciemną bluzę sportową, dziecięce czerwone rajstopy, rozwiniętą prezerwatywę oraz kawałki białej tkaniny. Dana Jaffe skojarzyła te rzeczy z intruzem, który zaniepokoił ją w noc zniknięcia Polly i niezwłocznie zatelefonowała na policję, aby powiadomić ją o tym znalezisku. Śledczy zaczęli bliżej przyglądać się mężczyźnie, na którego kobieta złożyła doniesienie przed niespełna dwoma miesiącami i okazało się, że odcisk dłoni pobrany przez techników od daktyloskopii z pokoju Polly pasuje idealnie do Richarda Allena Davisa. Dwa dni później mężczyzna został aresztowany, ale nie chciał odpowiadać na żadne pytania dotyczące Polly Klaas. Kate McLean i Gillian Pelham bez problemów zidentyfikowały go podczas okazania. W końcu, 4 grudnia, Davis przyznał się do porwania i zamordowania Polly Klaas, a następnie doprowadził śledczych do jej ciała.

Zły chłopak

Richard Allen Davis przyszedł na świat 2 czerwca 1954 roku w San Francisco jako trzecie z pięciorga dzieci Boba i Evelyn Davisów.



Oboje jego rodzice byli alkoholikami. Evelyn była surową matką i w celu zdyscyplinowania Ricka często przypalała papierosem jego dłoń. Kiedy chłopak miał jedenaście lat, para rozwiodła się. Z powodu niemoralnego zachowania matki w obecności dzieci, opiekę nad pięciorgiem latorośli uzyskał Bob, który z zawodu był dokerem. Mężczyzna żenił się potem jeszcze trzykrotnie i młody Rick żywił urazę do wszystkich swoich macoch. Te wczesne negatywne relacje z biologiczną matką oraz macochami doprowadziły u niego do nienawiści i pogardy do wszystkich kobiet i skłonności do stosowania przemocy wobec nich. Bob Davis również nie potrafił należycie zajmować się wychowywaniem dzieci. Był wyraźnie psychicznie niezrównoważony i czasami cierpiał na halucynacje. Niekiedy zdarzało mu się wychodzić przed dom z bronią w rękę i strzelać z niej do siebie tylko widocznych celów.

Pozbawiony miłości i akceptacji, które są tak ważne u dorastających dzieci, Rick stał się złym i podłym chłopcem. W młodym wieku zaczął torturować i zabijać zwierzęta. Zanurzał w benzynie koty, a następnie podpalał je oraz zabijał nożem bezpańskie psy. Jako nastolatek kradł również na potęgę i w wyniku tego był wielokrotnie zatrzymywany przez policję. W rozmowie z psychiatrą stwierdził, że dokonywanie kradzieży sprawia, że daje upust napięciom, które się w nim gromadzą. Chłopak rzucił też szkołę, będąc w drugiej klasie liceum. W wieku siedemnastu

lat Rick za liczne kradzieże znalazł się w końcu przed obliczem sędziego, który powiedział mu, że może trafić do poprawczaka lub wstąpić do amerykańskiej armii. Davis bez wahania wybrał wojsko. W późniejszym okresie Rick stacjonował w Niemczech Zachodnich, gdzie był kierowcą wojskowej ciężarówki. Będąc w wojsku nadal dopuszczał się drobnych przestępstw, za które został wydalony z armii po zaledwie trzynastu miesiącach służby. Jego grube, muskularne ramiona pokrywały już wtedy liczne czarne tatuaże. Wiele z nich przedstawiało sieć pająka.

Po powrocie do Kalifornii odnowił znajomości z niektórymi ze swoich szkolnych przyjaciół. 12 października 1973 roku udał się na imprezę do domu 18-letniej Marlene Voris. Davis twierdził, że ona była jego dziewczyną. Okazją do zorganizowania imprezy było przyjęcie osiemnastolatki do Marynarki Wojennej. Dziewczyna była z tego powodu bardzo zadowolona i nie mogła już doczekać się rozpoczęcia służby. Kiedy impreza dobiegła końca i wszyscy rozeszli się do domów, Davis powiedział do swoich kumpłi, że musi tam wrócić, bo czegoś zapomniał. Kilka minut później rozległ się strzał. Marlene Voris znaleziono martwą. Policja odkryła na miejscu siedem listów pożegnalnych napisanych jej ręką i uznała, że dziewczyna odebrała sobie życie. Ci, którzy ją dobrze znali, nigdy w to nie uwierzyli. Znajomi dziewczyny twierdzili, że w ostatnią noc przed śmiercią była bardzo szczęśliwa i uważali, że to Davis ją zamordował. Ich zdaniem, Rick najprawdopodobniej zmusił Marlene do napisania tych listów, a potem zastrzelił dziewczynę. Davis natomiast przekonywał, że Voris zastrzeliła się w jego obecności i przez to był w wielkim szoku.

Przemoc wobec kobiet

Kilka tygodni po jej śmierci, Davis został aresztowany za próbę zastawienia w lombardzie różnych kradzionych rzeczy. Przyznał się do serii włamań w miejscowości La Honda, ale twierdził, że dokonał ich, ponieważ był głodny. Za te przestępstwa odsiedział pół roku w miejscowym areszcie. Pięć tygodni po wyjściu na wolność, 13 maja 1974 roku, został zatrzymany za kolejne włamanie. Tym razem skazano go na karę więzienia od sześciu miesięcy do piętnastu lat.

Spędziwszy nieco ponad dwa lata za kratkami, znów wrócił na łono społeczeństwa. 24 września

REKLAMA

KANCELARIA ADWOKACKA ADAM DEMECKI



tel. 22 831 00 56, kom. 504 341 577



1976 roku zauważył 26-letnią sekretarkę, Frances Mays, kierującą się w stronę parkingu. Później opowiedział więziennemu psychiatrze, że usłyszał wtedy w swojej głowie kobiecego głos mówiący: „Zastanawiam się, jak to jest zostać zgwałconą”. Gdy Mays próbowała otworzyć drzwi od swojego samochodu, poczuła nagle, że ktoś stoi za nią. Odwróciła się i ujrzała wściekłego Davisa z nożem w ręku. „Wsiadaj do środka” – rzucił jej szorstko. Zrobiła co jej kazał i zajęła miejsce na fotelu pasażera. Mężczyzna wziął od niej kluczyki i odpalił silnik. Podczas jazdy młoda kobieta zaczęła płakać. „Zamknij się!” – krzyknął Davis, po czym uderzył ją. Mays dała mu swój portfel, ale to nie zadowoliło napastnika. Po zaparkowaniu auta w bezludnej okolicy, Davis rozpiął rozporek i wyjął penisa. „Liczę do trzech” – powiedział. „Wiesz, co masz zrobić”. Spanikowanej Frances Mays udało się wtedy chwycić jego nóż, którym ugodziła go w rękę. Następnie otworzyła drzwi samochodu i uciekła.

Na szczęście dla niej udało jej się zatrzymać przejeżdżający tamtędy pojazd, którym zmierzał do pracy funkcjonariusz kalifornijskiego patrolu autostrad, Jim Wentz. Policjant wycelował broń w Davisa i aresztował go. Z aresztu niedosłego gwałciela skierowano na obserwację psychiatryczną do Napa State Hospital, skąd udało mu się uciec w dniu 16 grudnia 1976 roku.

Tej samej nocy włamał się do domu 32-letniej Marjorie Arlington, która spała twardym snem. Uderzył ją w głowę pogrzebaczem do kominka. Zakrwawiona kobieta obudziła się z krzykiem, a on spokojnie wyszedł z jej domu. Później tłumaczył psychiatrze, że zrobił to, ponieważ usłyszał w swojej głowie głos kobiety, która chciała, aby ktoś walnął ją w głowę. Następnego dnia wtargnął do schroniska dla zwierząt, z którego ukradł strzelbę oraz amunicję. Wczesnym rankiem 20 grudnia ujrzał Marie Ellis idącą do swojego samochodu. Sterroryzował ją skradzioną strzelbą, po czym razem z nią wsiadł do auta. Kiedy potem próbował związać przestraszoną kobietę, Marie skorzystała z chwili jego nieuwagi i uciekła.

Nazajutrz Davis włamał się do pewnego domu, pod nieobecność jego właścicieli i ukradł stamtąd drogą biżuterię. Ktoś go jednak zauważył i wezwał policję. Funkcjonariusze przybyli na miejsce zdarzenia i zatrzymali Davisa w chwili, kiedy próbował ukryć się w trawie obok ogrodzenia. Za porwanie Frances Mays został skazany na karę od roku do 25 lat więzienia, a za dwa włamania otrzymał od sześciu miesięcy do dziesięciu lat. Po odbyciu zaledwie sześciu lat odsiadki za kratkami, został zwolniony warunkowo 4 marca 1982 roku.

Następnie Davis spotkał na swojej drodze życiowej Sue Edwards, pulchną, tlenioną blondynkę, która była dilerką narkotyków. Oboje mieli ze sobą wiele wspólnego i w krótkim czasie stali się przestępczą parą. Zajmowali się sprzedażą narkotyków, rabowali sklepy i restauracje, starając się zawsze, aby być jeden krok przed organami ścigania. 30 listopada 1984 roku okradli kobietę o nazwisku Selina Varich. Przestępcza para włamała się do jej domu w Redwood i zaczęła grozić kobiecie, że jeżeli nie będzie ich słuchać, to zabiją jej ojca, córkę, a na końcu ją samą. Varich próbowała uciec z domu, ale Davis uderzył kobietę mocno w twarz kolbą pistoletu. Edwards i Davis przekonali Selinę, że dadzą jej spokój, jeśli pobierze ze swojego konta bankowego sześć tysięcy dolarów i odda im te pieniądze. Później Varich udała się razem z Edwards do banku i wypłaciła dla nich te pieniądze.

Personel placówki nie zwrócił uwagi podczas transakcji na widoczne siniaki na twarzy Seliny i wszystko skończyło się po myśli Sue i Ricka. Ze zrabowanymi kobiecie pieniędzmi wyjechali do stanu Waszyngton, gdzie oboje dokonali udanego napadu na mały bank, z którego ukradli cztery tysiące dolarów. 21 marca 1985 roku przestępcza para wróciła do Kalifornii i w mieście Modesto została zatrzymana przez policjanta z drogowki, który zauważył, że ich samochód ma uszkodzone tylne światła. Funkcjonariusz sprawdził ich nazwiska w bazie danych i okazało się, że oboje są poszukiwani za napad na Selinę Varich. Davis został skazany na szesnaście lat więzienia, natomiast Edwards otrzymała znacznie łagodniejszą karę i po zaledwie sześciu miesiącach odsiadki odzyskała wolność. Rick odbywał karę w zakładzie karnym California Men's Colony w San Luis Obispo. Za dobre sprawowanie wyszedł na zwolnienie

warunkowe w czerwcu 1993 roku. Znalazł dach nad głową w schronisku dla bezdomnych w San Mateo. Przyniesiono mu również kuratora. Dostał pracę jako blacharz samochodowy i wkrótce zarobił dość pieniędzy, aby kupić sobie białego Forda Pinto, którym to jechał w noc porwania Polly Klaas.

Najwyższy wymiar kary

Trudno było dowiedzieć się od Davisa, co tak naprawdę stało się z Polly, po tym jak została przez niego uprowadzona, ponieważ mężczyzna miał tendencję do uchylania się od odpowiedzi i kłamania. Początkowo kilku przesłuchujących go detektywów próbowało krzykiem wydobyć z niego prawdę, ale podejrzany pozostawał niewzruszony. Dopiero potem sierżant Mike Meese spróbował łagodniejszego podejścia. Detektyw starał się traktować go z godnością i szacunkiem, z jakimi na co dzień powinien odnosić się do siebie ludzie i to zadziało. Davis zaczął mówić. Nie potrafił podać racjonalnego powodu, dla którego porwał dziewczynkę. Podczas przesłuchania Davis czasami zdawał się wykazywać ludzkie odruchy. Oczy zachodziły mu wtedy łzami i mówił łamiącym się głosem. W pewnym momencie zwrócił się do detektywa słowami: „Nie powinieneś okazywać mi żadnego szacunku. Wiem, że jestem kawałkiem gówna”. Po uprowadzeniu Polly jeździł z nią przez chwilę po okolicy, zastanawiając się, co ma dalej robić. W końcu zdał sobie sprawę, że za porwanie dziecka trafi do więzienia i postanowił ją zabić. Potem wywiózł dziewczynkę na pustkowie i tam udusił. Zarzekał się jednak stanowczo, że nie zgwałcił jej przed śmiercią. Kiedy zwłoki Polly zostały znalezione, były w stanie daleko posuniętego rozkładu i przez to nie można było ostatecznie ustalić, czy została także wykorzystana seksualnie.

Ze względu na duży rozgłos toczący się wokół tej sprawy, sędzia zdecydował o przeniesieniu procesu z okręgu Sonoma, w którym leży Petaluma, do miasta San Jose w okręgu Santa Clara. W skład ławy przysięgłych weszło sześciu mężczyzn i sześć kobiet. Davis został oskarżony o popełnienie morderstwa pierwszego stopnia i usiłowanie dokonania czynu lubieżnego na dziecku. Obrońcami oskarżonego byli Lorena Chandler i Barry Collins. W trakcie wstępnego wystąpienia otwierającego postępowanie sądowe Collins przyznał, że jego klient bez wątplenia zabił dziecko i są na to przytłaczające dowody, których obrona nie zamierza kwestionować. Stwierdził jednak, że oskarżenie nie dysponuje żadnymi dowodami na poparcie napaści na tle seksualnym.

Podczas dalszej fazy procesu strategią obrony było udowodnienie, że był to napad, który wymknął się spod kontroli z powodu zaburzeń psychicznych Davisa. 18 czerwca 1996 roku ława przysięgłych uznała Davisa winnym wszystkich stawianych mu zarzutów. Kiedy werdykt został odczytany, Davis pokazał przysięgłym dwa środkowe palce u obu rąk. Następnie należało orzec karę dla mordercy. W grę wchodziło jedno z dwóch rozwiązań: dożywotnie



pozbawienie wolności bez możliwości ubiegania się o zwolnienie warunkowe lub kara śmierci. Prokuratura wezwała na świadków rodzinę ofiary, aby pokazać przysięgłym jak bardzo ich życie legło w gruzach po zabójstwie Polly i tym samym podeprzeć tezę prokuratora okręgowego, że Davis zasługuje wyłącznie na śmierć. Niektórzy ławnicy mieli łzy w oczach, kiedy słuchali łamiących serce wypowiedzi bliskich dziewczynki.

Na dzień przed ogłoszeniem wyroku ojciec Polly, Marc Klaas, powiedział na sali sądowej do ławy przysięgłych, że jeśli nie skazają Davisa na śmierć, to wówczas pozwolą zatriumfować złu nad dobrem. Następnie Richard Allen Davis dostał zgodę od sądu na wygłoszenie swojego oświadczenia. Ponownie zapewnił, że nie miał nic wspólnego z seksualnym wykorzystaniem ofiary, ale sposób w jaki to zrobił, zszokował wszystkich ludzi będących na sali sądowej. „Głównym powodem, dla którego nie popełniłem tamtej nocy sprośnego czynu wobec dziewczynki, była jej wypowiedź, kiedy szliśmy po nasypie – przeczytał z kartki. „Proszę, nie rób mi tego co tatuś”. Po tych ostatnich słowach na sali sądowej zawrzało. Marc Klaas wykrzyknął: „Obyś spłonął w piekle, Davis”, po czym strażnicy wyprowadzili zrozpaczonego ojca na zewnątrz, a kilka osób będących w środku wybuchnęło płaczem. 5 sierpnia 1996 roku ława przysięgłych zaleciła, aby skazać Davisa na karę śmierci. Sędzia Thomas Hastings powiedział, że niedawne,

„OBYŚ SPŁONAŁ W PIEKLE!”

odrażające oświadczenie Davisa wobec ojca swojej ofiary sprawiło, że nie miał najmniejszych oporów przed skazaniem go na najwyższy wymiar kary. Marc Klaas powiedział później dziennikarzom, że nie może już doczekać się chwili, kiedy będzie mógł być świadkiem egzekucji Davisa. „Ostatnią rzeczą, którą Polly widziała przed śmiercią, były oczy Richarda Allena Davisa. Mam nadzieję, że ostatnią rzeczą, którą będzie mógł zobaczyć Richard Allen Davis na tym świecie, będą natomiast moje oczy”.

Żywa pamięć

Istnieją obecnie dwie organizacje imienia Polly Klaas, angażujące się w pomoc dzieciom w całej Ameryce. Jedną z nich jest Fundacja Polly Klaas, która współpracuje z organami ścigania i społeczeństwem w celu ochrony dzieci i młodzieży w USA. Jej misją jest edukacja ludzi w zapobieganiu uprowadzenia dziecka oraz pomaganie w poszukiwaniach zaginionych dzieci. Fundacja ta została założona przez Marca Klaasa, który każdego dnia wspiera ją swoimi działaniami. Życie Polly Klaas zostało przerwane w okropny sposób, niemniej jednak dziewczynka nie umarła na próżno. Jej strata zainspirowała wielu ludzi do pracy na rzecz niesienia pomocy dzieciom w Ameryce, a także przyczyniła się do uratowania wielu innych małych istot. Miasto Petaluma również nie zapomniało o Polly. 18 stycznia 1994 roku Rada Miasta nazwała na jej cześć tamtejsze Centrum Sztuki Widowiskowej, uzasadniając w swojej oficjalnej rezolucji, że „pamięć o tym szczególnym dziecku na zawsze pozostanie częścią wspólnoty miasta Petaluma”.

Richard Allen Davis przebywa aktualnie w bloku śmierci więzienia stanowego San Quentin położonego nad Zatoką San Francisco. W pojedynczej celi spędza większość czasu i zjada tam swoje posiłki. Może również oglądać telewizję i słuchać radia. Ma także dostęp do książek i czasopism z więziennej biblioteki. W ciągu pierwszych dziesięciu lat spędzonych w celi śmierci doszło do dwóch aktów przemocy z jego udziałem. Za pierwszym razem pobił się z innym współwięźniem i nie sposób było ustalić, który z nich pierwszy wszczął bójkę. Natomiast drugi przypadek miał miejsce w 2005 roku w więziennym szpitalu, w którym został znieczulony uderzony pięścią i nie był w stanie walczyć z napastnikiem, ponieważ ten cios go ogłuszył. 23 lipca 2006 roku strażnicy znaleźli nieprzytomnego Richarda Allena Davisa w swojej celi. Zabrano go następnie do szpitala, gdzie okazało się, że przedawkował narkotyki. Lekarzom udało się przywrócić go do życia i kilka godzin później został z powrotem odesłany do celi. Władze więzienia wykluczyły próbę samobójczą, ale nie potrafiły ustalić, kto dostarczył mu te środki odurzające.

Ciągający się długimi latami proces składania apelacji przez skazańców z bloku śmierci w Kalifornii sprawia, że wciąż nie wiadomo, kiedy Richard Allen Davis wyczerpie wszystkie swoje odwołania i czy w ogóle zostanie stracony. Na chwilę obecną w Kalifornii obowiązuje moratorium na wykonywanie wyroków śmierci i od stycznia 2006 roku nie przeprowadzono tam ani jednej egzekucji. Tak więc wygląda na to, że Davis prędzej umrze z przyczyn naturalnych, aniżeli od śmiertelnego zastrzyku. ■

Jarosław Szklarek**POPARZENI (GŁUPOTA)**

Gotowi na wszystko

dokończenie ze str. 55.

podobnych okolicznościach, powstałe obrażenia najczęściej obejmowały brzuch oraz górne i dolne kończyny. Omijały jednak... genitalia. – Przypadek? Nie sądzę – mówił przed sądem jeden ze specjalistów, odnosząc się do obrażeń Grzegorza F.

Wyjaśnił, że gdyby do wypadku doszło w okolicznościach podanych przez oskarżonego, to gorący rosół spłynąłby z brzucha również na intymne części ciała mężczyzny. Nie trzeba być wybitnym fizykiem, żeby wiedzieć, że ciecz spływa w dół, a w takim przypadku dotarłaby także do genitaliów. Biegli dopatrzili się u oskarżonych poziomych śladów po oparzeniach. Mogło to wskazywać, że leżeli np. z mokrym ręcznikiem na kroczu, a ktoś w tym czasie polewał ich gorącym płynem. Najprawdopodobniej była to woda. Raczej

nie rosół, ani zupa, bo takie potrawy zawierają tłuszcz. Tłuszcz wrze w dwa razy wyższej temperaturze i w przypadku oparzenia nim, obrażenia są bardziej dotkliwe, niż te, które stwierdzono u oskarżonych.

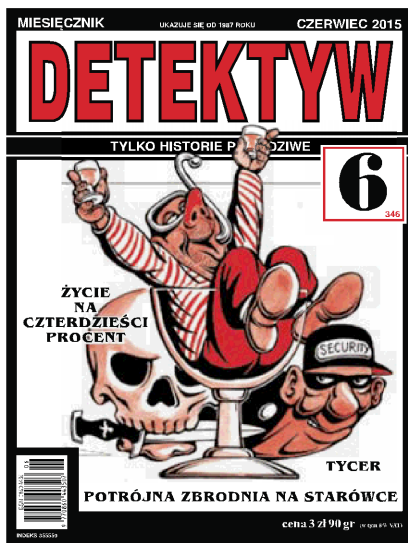
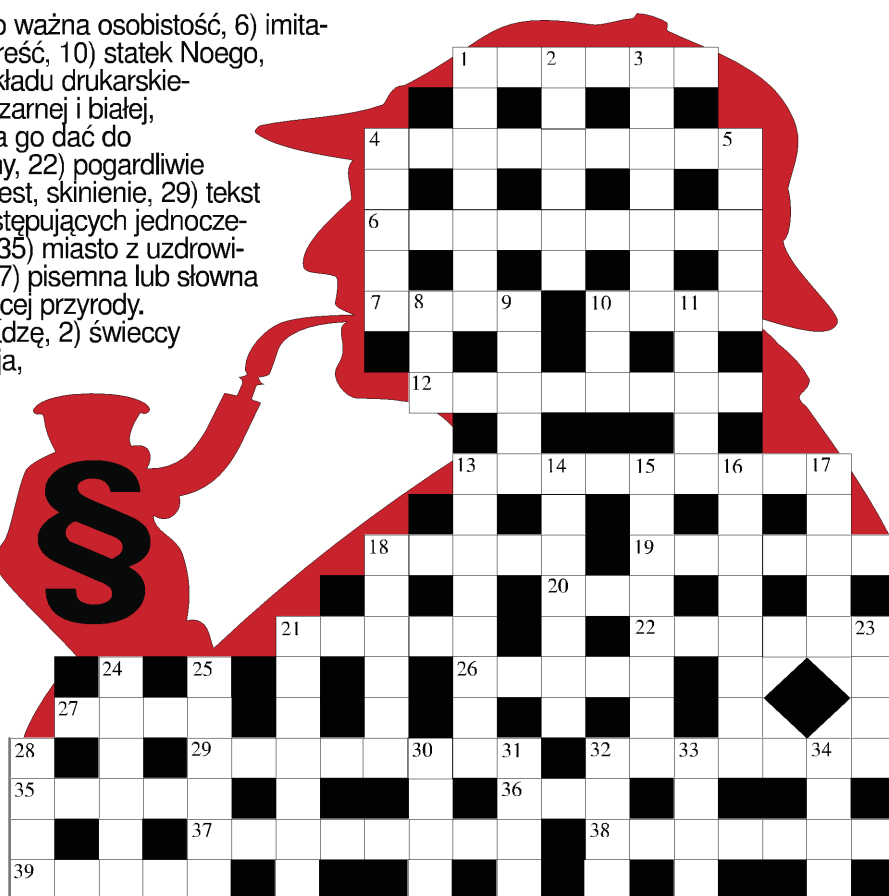
Ci nie poddają się jednak. – Nie lubię jeść tłusto i zawsze łyżką wybieram tłuszcz z rosółu, może to potwierdzić m.in. moja żona. Proszę mi udowodnić, że tak nie było, kiedy się poparzyłem – mówił w trakcie rozprawy przed sądem jeden z mężczyzn. Oskarżonym grożą kary do 10 lat pozbawienia wolności. ■

Karol Rebs**Zmieniono personalia.**

POZIOMO: 1) nicpoń, łobuz, 4) bardzo ważna osobistość, 6) imitacja, produkt zastępczy, 7) znaczenie, treść, 10) statek Noego, 12) odchylenie od normy, 13) rodzaj składu drukarskiego, 18) potomek przedstawicieli rasy czarnej i białej, 19) imię Schwarzeneggera, 20) można go dać do wody, 21) samobójca lub zamordowany, 22) pogardliwie o kucharce, 26) giełdowy papier, 27) gest, skinienie, 29) tekst słowny opery, 32) zespół objawów występujących jednocześnie, charakteryzujący daną chorobę, 35) miasto z uzdrowskim dla dzieci, 36) fura, furmanka, 37) pisemna lub słowna nagroda, 38) siepacz, 39) symbol ginącej przyrody.

PIONOWO: 1) sprawuje wyłączną władzę, 2) świeccy w kościele, 3) gramofon, 4) denuncjacja, tajne oskarżenie, 5) niezgoda, waśń, kłótnia, 8) czas geologiczny, 9) wieś, 10) Cyganka z "Chaty za wsią", 11) pierwszy palec ręki, 13) przedwczesne rozpoczęcie biegu, 14) z krwią, 15) o chłopcu z gniewem, 16) rosyjski pojazd księżycowy, kierowany z Ziemi, 17) ostatnia faza lotu szybowca, 18) manatki, rzeczy osobiste, 21) pogardliwie o powolnym pracowniku, 23) mężczyna z raj, 24) zawój na głowie Hindusa, 25) słoła, szaruga, 28) śledzący może go zgubić, 30) drużyna sportowa, 31) mrówka, 32) ścina z nóg, 33) tendencja w sztuce, 34) nieznajomy.

(rozwiązanie w numerze)



● **POTRÓJNA ZBRODNIA NA STARÓWCE** – Potrójne zabójstwo w kamienicy na gdańskiej Starówce odkrył starszy brat zamordowanego Jerzego W. Mężczyzna przez kilkanaście godzin bezskutecznie dzwonił pod numer jego telefonu...

● **SURÓGATKA** – Historia perypetii małżeństwa Piotra i Beaty R. z poznaną przez internet Ewą Z., jest namacalnym

W NASTĘPNYM NUMERZE

dowodem konfliktów i emocji, jakie mogą wystąpić z powodu chęci posiadania potomstwa.

● **ŻYCIE NA CZTERDZIEŚCI PROCENT** – Bogumił M. z każdym kolejnym transportem powiększał ładunek umieszczając go w dodatkowych schowkach pojazdu. Starał się, aby pojemniki nie zostały nawet przypadkowo odkryte.

● **URZĘDNICZE POŻYCIE** – W biznesowych kręgach rozeszła się wieść, że w miejskim urzędzie „da się” wiele załatwić, za sprawą prezesa Jerzego K. Mężczyzna reklamował siebie, jako „pośrednika” w przetargach.

● **W DRODZE DO SZKOŁY** – Brutalnie zamordowaną nastolatkę pochowano w grobie siostry bliźniaczki, która zmarła dokładnie tego samego dnia miesiąca, kiedy straciła życie Kasia, tylko 14 lat wcześniej!

● **BRAK CIAŁA** – Rafał I. zgłosił zagnięcie żony, jednak kobiety nigdy nie odnaleziono, a poszlaki wskazujące, że została zamordowana przez własnego męża, były zbyt słabe. W kwietniu 2011

roku Rafał popełnił samobójstwo zabierając do grobu tajemnicę.

● **ODSZKODOWANIE** – Hieronim Cz. od dawna znęcał się nad swoją rodziną. Kilka lat temu żona oskarżyła go o gwałt (za co trafił za kratki), potem jednak wycofała oskarżenie. W efekcie mężczyzna zaczął domagać się odszkodowania za niesłuszny pobyt za kratkami.

● **TYCER** – W jaki sposób złodzieje dowiedzieli się, że korzystne będzie włamanie akurat do tego mieszkania albo, że napad właśnie na tego człowieka, o określonej porze dnia da spory łup, bo będzie on miał przy sobie większą kwotę pieniędzy?

● **KOBIETA FATALNA** – Czy ta niewiasta stanowi zagrożenie dla mężczyzn? Czy tylko jest chodzącą niewinnością, uwikłaną w morderstwo? Manipulantka planująca zbrodnię, czy przypadkowa ofiara dziwnego zbiegu okoliczności?

**CZERWCOWE WYDANIE
„DETEKTYWA” NR 6/2015
DO KUPIENIA
OD 19 MAJA 2015 R.**

ZAGADKA
KRYMINALNA

ZAZDROSNA RYWALKA

Steven był młodym i niezwykle przystojnym mężczyzną, mającym wielkie powodzenie u kobiet. Poprzedniego dnia wieczorem rozmawiał przez telefon z matką, która zapowiedziała swą wizytę w kawalerce syna następnego ranka.



Punktualnie o 10.00 rano matka Stevena zapukała do mieszkania jedynaka, jednak odpowiedziała jej głucha cisza. Starsza pani, w najwyższym stopniu zaniepokojona, wezwała policję. Funkcjonariusze wyważyli drzwi. Niestety Steven już nie żył. Lekarz stwierdził, że śmierć nastąpiła zaledwie dwie godziny wcześniej w wyniku postrzału w serce.



Komisarz Hamilton rozpoczął śledztwo od przesłuchania matki zmarłego. Zrozpaczona kobieta niechętnie przyznała, że Steven był niestałym w uczuciach lekkoduchem. Po kryjomu przed zakochaną w nim bez pamięci Judy, młodą utalentowaną aktorką, spotykał się z niecieszącą się dobrą reputacją stewardesą Elisabeth. Kupił jej nawet pierścionek zaręczynowy...



Policjant musiał przesłuchać obydwie młode kobiety. Najpierw zeznawała stewardesa, jednak Elisabeth na czas zabójstwa przedstawiła alibi: – *Feralnego ranka znajdowałam się na pokładzie samolotu, który wystartował z Nowego Jorku o 7.30 rano i dwie godziny później wylądował w Chicago...*



Następnie Hamilton przesłuchał aktorkę Judy. Dziewczyna była załamana śmiercią ukochanego, jednak i ona legitymowała się solidnym alibi: – *W czasie kiedy zginął Steven, byłam w swoim mieszkaniu i uczyłam się na pamięć nowej roli. Mam zwyczaj głośno powtarzać kwestie, gdyż wtedy lepiej zapamiętuję tekst. Tu są cienkie ściany, więc sąsiedzi musieli mnie słyszeć. Proszę go o to zapytać.*



Stary policyjny wyga nie omieszkał sprawdzić zeznań podejrzanych kobiet, uzyskując w obu przypadkach potwierdzenie ich wersji. Właśnie rozmawia z mocno już starszym panem, sąsiadem Judy: – *Tak, słyszałem jak od rana w kółko powtarzała ten sam tekst. Chwilami zagłuszał ją szczekaniem jej własny pies, ale widocznie to jej nie przeszkadzało.*



Pod pozorem złożenia dodatkowych wyjaśnień, komisarz wezwał do komisariatu obie młode damy. Był zbyt doświadczonym policjantem, aby dać się zwieść kłamliwym zeznaniom. O zabójstwo Stevena oskarżył jedną z kobiet.

KTÓRĄ I DLACZEGO?
(rozwiązanie w numerze)